



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

Z ŻYCIA.

Życie, to „wczoraj“, które pozostało za nami, to jutro, które nas czeka, ale przede wszystkim to dziś: ta bieżąca, skrzydlata chwila czasu, która ucieka jak ptak, jak motyl, odbiega nas niepowrotnie i staje się już natychmiast przeszłością. Z takich chwil, jeżeli nie są użyte, składa się życie zmarnowane: czegośmy nie doznali, czegośmy nie dokonali, co pozostało w tyle, jak siła niepotrzebowana, skarbnica nieodemknięta, bogactwo, które procentu nie dało — to one, nasze *dzisiaj* bez liczby, bez rachunku pущczone w przeszłość. Goethe kładł to pomiędzy pierwsze warunki umiejętności życia, abyśmy codziennie odrobili wszystko, co nam dziś jako pracę, jako obowiązek, jako użycie życia przynosi: i prawda to niewątpliwa. Jutro... ale to już doba inna, tak, jak my już inni, i nie ma nic cięższego na świecie nad żal po wczoraj, niezauważaniem, tęsknota za tem, co nie było, nie stało się, nie istniało, a być, istnieć, stać się mogło. Ten poeta w Schillerowskim *Podziale ziemi*, który przebywał wtedy w niebiosach, gdy inni rozrywali dobrą ziemską, to kategoria inna; Bóg poezji każe mu też nazawsze pozostać obok siebie i nie uważać się za wydziedziczonego żebraka. On tylko obrał sobie istnienie niebieskie, zamiast istnienia ziemskiego; biada jedynie tym, co i na ziemię czynną, działalność nie schodzą, i do niebiosów po świetlanej drabinie Jakuba nie idą — leńniwi. Trzeba istocie do życia stworzonej żyć jakimiśkolwiek jego rodzajem, ale żyć: w czasie, w chwili, danej na to, aby spotrzebowana została, nim przeminie.

Saturn Grecki, skrzydlaty i z kosą: to myt głębokomądry; wartoby takie wyobrażenie czasu

mieć zawsze gdzieś blisko, aby je wzrok nieustannie spotykał. Sprawdza się niesłychanie często to przysłowie rozumne, że co z oczu to z myśli, a dość jest nieraz, aby nam nazawsze przepadło, co z myśli wypadło na pewien moment tylko. My zapominamy, lecz ktoś pamiętać może, i mamy jeszcze ręce założone, a on przyjdzie i do pracy się zabierze, miejsce nasze zajmie i już go nie odda, a choćbyśmy potem w niebogłose wołali, że tu być, tu stać nam się godzi, tu należy: już nic nie pomoże; nawet moralnie straciliśmy prawo nasze. Kto pierwszy, ten lepszy... i to właśnie określa staro-rzymski axionat prawny przez wieki wieków w praktyce życia udowodniony: Szczęśliwi, którzy posiadają! Szczęście jest tu nagrodą tego, że owi posiadający byli pracowici, bystrzy, rozumni, że nie zalegli pola. W tem znaczeniu mówi się u nas: — Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje... Wczesnie się zabrał do roboty, do niego też należy najobfitszy zbiór tego, co ludzkość z łaski Bożej mieć może. A tam szczególnie, gdzie wrze Darwinowska walka o byt, ten tylko wygrywa, kto czasu swego nie zasypia. W obecnej chwili jest w społeczeństwie naszym na dział kobiety przypadająca praca, do której warto wstać rano. Częste wypadki bolesnych poparzeń, okaleczeń, a nawet śmierci, zdarzające się między drobną działywą wiejską, gdy starsi wydaliwszy się w pole na robotę, biedne te istoty bez dozoru w chatach zamykają, skłoniły rząd do rozkazu, aby gminy urządziły po wsiach pewnego rodzaju ochronki w połączeniu ze żłobkami. Aby rzecz nie była kosztowną, pierwsze plany tych przytułków zarysowane są bardzo pierwotnie: trzeba tylko izby i w nim kogoś do dozoru nad działywą, naturalnie, że takiej kobiety sędziwej, któraby już w pole na pracę nie szła, a przy pomocy starszych dzieci rząd wśród młodego światka sprawowała. Każdy kto wieś zna, wie, że tak być może. Wcale nierzadko siedmioletnie, pięcioletnie nawet dziecko zajmuje się nie-

możliwie, i naśladować to, co widziało u matki oddaje mu usługi różne: kołysze i tuli w płaczu, na rękach huśta, poi, karmi, a nawet dziewczynka ledwo od ziemi odrosła rozplakanemu biedactwu pościółkę nieraz prześciela. Gdy się doda do tego kierunek i nieco pracy starszej kobiety, już rzecz jest możliwa; czy, przecież nie należałoby tam być i komuś jeszcze — komuś ze dworu? Ta która tam jest panią i gospodynią, matką rodziny w obrębie całej miejscowości najrozumniejszą, najoświeconszą, najwięcej wiedzącą pod względem higieny i wychowania, powinna wejść w stosunki z tymi, co nad urządzeniem ochronki radzić będą, powinna następnie tej ochronce pewnego rodzaju nadzór swój zapewnić i zajrzeć tam od czasu do czasu, aby okiem troskliwym zbadać: co i jak się tu dzieje? Że to faktycznie dużo dobrego zrobić może — tyle naprzykład, ile troskliwe zajęcie się dworu chorymi na wsi — rzecz już pewna; ale w dodatku kobiety wiejskie tkliwie to ujmie, według tego starego przysłowia: „Dziecko za rączkę, matkę za serce“; więc będzie przyczynkiem do nieopisanego dla obu stron dobrodziejstwa: życiowego zbliżenia się klasy ciemnej do klasy oświeconej. Skoro kobiety przez najwyższe może w ich sercu uczucie miłości macierzyńskiej węzeł przyjazny ze sobą zadzierzną, rozpromieni się to niewątpliwie na całe ich otoczenie w sposób dobroczynnych wpływów pełny. Ochronka, wszystkie drobne dzieci wsi zbierająca razem, niezmiernie to dzieło miłości pani ułatwia: bez mozolnego, z wielorakimi trudnościami połączonego poznawania pojedynczych dzieci do wiadomości o wszystkich przyjdzie i każdej matce jakieś słowo dobrej rady dać może. Czy nie puszczam wodzów fantazyi, gdy sobie idealny obraz takiej pani tworzę, któraby wkrótce po otwarciu ochronki doktora, własne jej dzieci leczącego, wezwwała i poprowadziła go ze sobą między te maleństwa starsze i młodsze, aby ją samą wsparł wskazówkami, co jej tu pod róż-

nemi względami czynić należy? Choć cztery takie odwiedziny rocznie: a jaka rzeczy w różnym kierunku skuteczność, jaka zasługa obywatelska! Zejdźmy na grunt realny i zobaczmy: jaki tego koszt być może? Sto złotych? Nie więcej, lub mało co więcej, bo w takich okolicznościach i lekarz każdy — ręczyć prawie zato można — okazałby się względny.

Ktoś mi powie, że dziś gmina jest dość zamożną, aby wydatki takie sama ponosiła. Tak jest rzeczywiście; ale cóż, jeżeli ponosić nie chce: jeżeli gmina w potrzebę doktora nie wierzy, jak w ogóle ciemnota nie wierzy w naukę? Postęp, światło przenika zawsze niziny, bijąc z góry. Gdzie-by w górze było ciemno, gdzieby góra odgradziła się od reszty świata nieprzepuszczalną ścianą obojętności, tam-by na padole wieczny mrok panować musiał.

To też powiedziano, (zdaje mi się Monteskiusz), że skalą sądu o wyższych klassach narodu jest poziom ukształcenia, uobyczajania klas niższych.

Dzisiaj jest ta chwila, w której gminy, wydatkom na ochronkę niechętnie, targują się o nie, a nawet w wielu miejscach odmówiono ich wręcz, nie chcąc zbawiennej instytucji, skoro ją opłacać trzeba. Chodzi o dużą izbę i wynagrodzenie nadzorczyń. Czy i to wydatek taki wielki? Niech dziedzic wsi da drzewo, a gmina doda robociznę; niech potem jeszcze przy składce na resztę potrzeb chaty jaki pieniądz pański ją zasili i dobry początek robi z dodatkiem ciepłego, rozu mnego słowa, raz, drugi przy okoliczności wyrzeczonego: a stanie dom ochronki, gdzieby zarazem spracowana a najuczciwsza ze wsi kobieta stara stała pomieszkanie znalazła, aby za bardzo niewielką zapłatę pełnić obowiązki dozorczyń. Wiem z doświadczenia, że tak być może. Wiele już lat temu widziałam pewien rodzaj żłobka, miłośniernie dla dzieci bandosek, to jest najemnych żniwiarów, przez dobrego serca panią we wsi Ł. w powiecie Sandomierskim urządzoną w ten sposób, że je wszystkim do jednej izby w budynku jakimś dworskim codziennie zgromadzano, a stara wiejska kobieta pilnowała tego maleństwa za cenę, dwóch bochenków chleba, który przez rok cały dostawała tygodniowo, tak, jak cała służba dworska. Był to dobry uczynek podwójny: wspierała się starość już na siłach do pracy upadająca i dzieciństwo, któremu opieki brakowało. Działo się to stała mleko ze dworu, przypuszczam, że i dozorczyń ich jadła wtedy na folwarku, obok którego żłobek ów istniał. A nie było to ofiarą ze strony ludzi bogatych; żona dzierżawcy wprowadziła zamożnego, ale zawsze tylko wsi jednej, dopełniała tego zacnego czynu w cichości, bo jej się wydawał rzeczą małą. Zawsze tak czują serca dobre, mające chęci większe niż możność.

Tajemnicą dobroczynności p. M. M. była jej gospodarna pracowitość, mogła coś dać, bo umiała zebrać, nie zalegała pola pracy, nie zasypiała go. Bóg dawał, tej wstającej rano.

Gdy sobie szczegółowo tego dobrego uczynku przypominam, występuje mi przed oczy jedna jeszcze, niezmiernie ważna, jego strona. Dzieci zacnej pani mocno się zajmowały owym biedactwem drobnym. Po skończeniu lekcji biegły do nich z nauczycielką, przynosiły drobne dary w przysmakach: i była to najlepsza edukacja serca, jaką matka dzieciom dawać może.

Ale tam, gdzie jest we dworze córka już dorosła, siostra, krewna jakaś, takim pracowitem jak pani domu trudem gospodarstwa i wychowywania rodziny nieobciążona, czy tu dla niej nie ma obowiązku dobroczynnego i sposobności do zasługi obywatelskiej? Stare to i dawne marzenie moje, aby się młoda panna na wsi do powinności w tym kierunku poczuła. Wcielałam je niegdyś, marzenie owe, w Felisję Oktabowiczównę, której chciałam dać pozyskać serce szlachetnego młodzieńca, odkupującego w *Kamiennej Woli* winy i słabości ojcowskie. Czyżby marzenie moje nie praktycznego gruntu mieć dla siebie nie mogło; czyżby młoda dziewczyna, chcąc coś czynić dla dobra ogółu, nie potrafiła paru godzin dziennie temu poświęcić i tak, jak Felisia moja w sadku śliwkowym, przy chacie ochronki wiejskiej podjąć się przedszkolnej edukacji i cywilizowania pewnego dziatwy wiejskiej? Dwie godziny dziennie dla tej,

która nie jest żadnym szczególnym obowiązkiem związana! — dwie godziny dziennie, aby tyle dobrego zrobić, tyle zasługi sobie zaskarbić! Ile-to czasu zostaje jeszcze dla siebie — tego czasu, który często pożera nuda, lub pochłania ta nieużyteczna zabawka, nazwać się dająca pracowitem próżnowaniem: zabawka robienia dziurek w całym, jak jeden, ze znajomych mi mężczyzn haft nazywał. Lecz można i haftować nawet, można obok rzeczywiście pracowitego zajęcia jakimś działem gospodarstwa dwie godziny czasu dziennie na to poświęcić, co też może się nazwać obowiązkiem i obowiązkiem zgola niemniejszym od innych, które jako takie uważamy.

Punkt spojrzenia na rzecz tę dobrze dobrany, dostatecznie podniesiony nad poziom niskiego realizmu: a zrozumiemy, że to zgola nie romans, ale też szlachetnej istoty ludzkiej powinność, aby coś w zakresie obowiązków obywatelskich, obowiązków ludzkości czyniła, do czegoś się w tym kierunku tak poczuwała, jak do cnót innych, do miłości matki na przykład.

Teraz jest pora, teraz jest chwila czasu jedyna, aby kobieta nasza postarała się o zajęcie odpowiedniego stanowiska w pracy ważnej, w pracy jej właściwej. Saturn jest skrzydlaty i z kosą w ręku: jutro już może dla niej nie być tam miejsca, gdzie dzisiaj jest najzupełniej swobodne. Temu Pan Bóg daje, kto wczesnym rankiem wstaje.

Że w żądaniach moich od kobiety, od młodej panny nie idę za daleko, powołuję się na głos wytrawnego rozumu, trzeźwej i tylko podniosłej inteligencji, na głos Dra Virchowa. Ten mąż uczony, ten lekarz znakomity spotykał się w praktyce lekarskiej, z takimi niewiadomościami matek młodych, z taką ich szkodliwą nieumiejętnością w obchodzeniu się z dzieckiem, że w 1869 czy 1870 r., miał w Berlinie dwa publiczne odczyty, rozbierające ten przedmiot. Znajomość fizycznego wychowania dziecka kładł on w nich między najpierwsze obowiązki każdej kobiety, którą Bóg dzieckiem obdarzył; lecz zastanawiając się nad tem, że teoria sama jeszcze tu nie starczy, że praktyka jest konieczną — cóż radził? Gdy kobieta już się żoną i gospodynią domu stanie, nie ma, nie może mieć czasu na to, aby praktycznych tych wiadomości szukać gdzieś mogła, zanim ich na własnym dziecku, często z wielką jego szkodą, nabędzie: więc w programmacie wychowania każdej młodej panny, która małego rodzeństwa nie ma, mieścić kilkomiesięczną praktykę w żłobkach. Żaden stan nie miał czynić tu różnicy. — To ofiara dla najświętszych obowiązków waszych — wołał wymownie z mównicy, a czyż tu nie można tych samych słów uczonego męża powtórzyć?

Marya Ilnicka.

SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Po dość długiem oczekiwaniu w przedpokoju ogromnym wprowadzono mnie do wspaniałego salonu. I tu nie wtargnęło nic świeższego, lecz stare umeblowanie starą zamożność cechowało.

Nie było nikogo; miałam czas się przypatrzeć pięknym obrazom, przepysznym bronzom i dziełom sztuki, które z wielkim smakiem roztawione były. Zaszleściła suknia i weszła kobieta już podeszłych lat. Piękniejszej twarzy, piękniejszej starości nie widziałam w życiu. Musiała być nadzwyczaj uroczą, a pozostała majestatyczną, i twarz wiekiem uspokojona, łagodna, smutna, z wejrzeniem życia jeszcze pełnem, obudziła we mnie cześć jakby dla rzymskiej matrony. Coś tak pańskiego było na tem obliczu bladym, białym, z wielkimi oczyma czarnymi!

Wpatrywała się we mnie długo, jakgdyby coś innego się spodziewała spotkać, i dziwiła się, że to ja dokonałam tak trudnego dzieła.

Z niedowierzaniem spytała mnie o nazwisko i o Père Duval.

Usłyszawszy odpowiedź — poznała zaraz, że muszę być cudzoziemką.

— Pani mówisz bardzo dobrze po francuzku — rzekła — ale akcent ją zdradza.

Odpowiedziałam jej, że Polką jestem.

Popatrzyła na mnie z politowaniem i zbliżyła się ze współczuciem. Byłam wzruszoną. Zaczęłyśmy mówić o obrazie. Opowiedziałam jej otwarcie, że niedawno nauczyłam się restaurowania i jak do tego przyprowadzoną zostałam.

Nie lubię nikomu zwierzać się z moich losów i skarżyć się na nie; kobieta ta jednak tyle do mnie okazała zaufania, tak jakoś przemówiła do duszy, że przed nią nie utuliła, co mię przywiodło do położenia, w jakim się znajdowałam. Uczyniłam to wesoło, nie rozczulając się — tak, jak mi serce wzruszone podyktowało.

Poszłyśmy potem przez cały szereg pokoiów, do składu, w którym były inne stare portrety.

Stał ich cały stos, oparty o ścianę, a stary sługa dobywał i pokazywał z kolei. Niektóre potrzebowały tylko oczyszczenia, odwrócenia, nowych płócien. Roboty dla mnie było aż nadto.

Margrabina życzyła sobie, abym się jej podjęła.

Jeszcześmy tu zajęte były rozpatrywaniem, gdy wnuk pani domu, mężczyzna, lat mieć mogący około trzydziestu — wszedł do pokoju, w którym myśmy się znajdowały. Coś z piękności babki odziedziczył jej potomek; rysy były podobne, charakter ten arystokratyczny miał, co i ona.

Szepnęła mu coś do ucha. Przywitał mnie grzecznie.

Gdy przyszło do umowy, musiałam otwarcie oświadczyć, iż mojej pracy ocenić nie potrafię i spuszczać się chętnie na to, co oni uznają za właściwe mi ofiarować. Uśmiechając się, opowiedziałam, że potrzebuję pracy, że przyjmę każdą z wdzięcznością.

Margrabina była tak grzeczną, że mnie zaprosiła na śniadanie. A! jakże dawno nie znajdowałam się na podobnem, jak mi się tu wszystko pięknem, miłym, dobrem wydało! Odżyłam na chwilę i musiałam się to dać uczuć w rozmowie.

Stała się ona ożywioną, dotykała różnych przedmiotów. — Mimowolnie pewno nie dla popisu dałam im poznać, że żyłam niegdyś w innym świecie i że mi języków kilka nie było obcych...

Widziałam, że żywą obudziła ciekawość. Młody margrabia wdał się ze mną w rozprawę o sztuce, którą kocha i na której się zna dobrze. Śniadanie się przeciągnęło, a gdy nareszcie musiała pożegnać gospodynię, młody margrabia przeprowadził mnie do przedpokoju.

Serce mi biło, gdy wychodziłam, i z bólem ujrzałam się na ulicy, myśląc, że znowu z tego patriarchalnego domu, co mi nasz przypominał — z tej atmosfery, w której mi tak miło było oddychać, muszę spaść w ten tłum, do którego mnie losy wygnały na pokutę.

Nazajutrz przyszły pierwsze płótna. Porcelanę na czas jakiś porzucić potrzeba.

O cenę wcale się nie umawiałam. Około płócien, które mi powierzono, nie będę miała tak wiele pracy, ani tak wielkiego zarobku. Dwa portrety kobiece będą najdalej w parę tygodni gotowe. A! jakżeby rada, by z nich równie byli kontenci, jak z pierwszego! Lękam się popsuć je nieuważnem pędzla dotknięciem.

— Wczoraj odesłałam margrabinie moją robotę, nieśmiąc jej towarzyszyć sama. Pocztą miejską odebrałam zaproszenie na śniadanie i z bijącym sercem weszłam znowu do tego domu, który tak miłe na mnie uczynił wrażenie. Margrabina przyjęła mnie uprzejmiej może niż pierwszą razą. Wnuka jej nie było, ale nadszedł na śniadanie, na którym też znajdowała się jakaś krewna pani domu, osoba w jej wieku, dumna, milcząca i nieprzystępna.

Nie bawiła długo, spoglądając ciągle to na zegarek, to na mnie, jakbym jej tu zawadzała. Z chęcią-bym się była oddaliła, lecz ona pożegnała nas wcześniej, a mnie prosiła pozostać.

Margrabia mówił znowu o sztuce, o artystycz-

nym świecie, o stosunkach, jakie ma w nim, o znajomościach i w końcu, gdy dumna pani wyszła, on i babka jego, oświadczyli mi się z chęcią do pomocy mi w moim nieszczęsnym zawodzie artystycznym.

Uczynili to z taką delikatnością i współczuciem, że mi się serce otworzyło wdzięcznością.

Młody margrabia radził mi i życzył, bym coś własnego powierzyła mu, a on postara się o to, by znawcy kompetentni ocenili moją pracę i doradzili, jakbym z nią sobie począć miała.

Błysnęła mi nadzieja! ale z nią obawa zarazem.

Gotowego nie mam. Muszę dni moje podzielić tak, abym i dla chleba mogła coś robić i dla przyszłości. — Lecz mogę ja wierzyć w przyszłość? miałaby los zlitować się nademną?

Naglono tak na mnie, iż ofiarę przyjąłem. Margrabina przy wyjściu wcisnęła mi w rękę kopertę z tem, co się, według niej, za restauracją należało.

Dopiero w ulicy, po otworzeniu koperty, znalazłem w niej pięćset franków.

Ale summy tej, doprawdy, przyjąć nie mogę. Przesłano mi dwa jeszcze portrety: napiszę więc, że i te chyba już będą zapłacone.

Co mam odmalować na pokaz, na popis, aby poddać pod ten straszny wyrok sędziów, mający stanowić o przyszłości?

Co? Męczyłam się noc całą.

Nie wiem; jakiś głos wewnętrzny wskazał mi, bym to malowała, w co duszę i serce włożyć mogę. Coś naszego! coś ukochanego.

Rozwinęłam więc mój kościółek wiejski niedokończony. Wydał mi się dziwnie, po długim niewidzeniu; przypominał Brzegi, młodość, ojca — i spłakałam się przy nim.

Tak — kościółek mój wiejski dokończę. Takiego oni nie widzieli nigdzie, bo niema na świecie takich ubogich drewnianych świątynek — jak nasze.

Ręka mi drży — co to będzie? —

Po wyjeździe Ludmiły pozostał Prosper Sitko w Dreźnie, nie z dobrej woli, lecz, że nie wiedział co ma zrobić z sobą. Tęskno mu było — pusto, nawet miłość dla sztuki ostygła. W pierwszych dniach myślał tylko: jak ta nieszczęśliwa radę sobie dać potrafi.

Nawet gdy pierwsze pożegnania wrażenie się zatarło, smutek osiadł w nim, jak sadze po pożarze.

Chodził do pracowni Rietschl'a, lecz mistrz, co go lubił za jego prostotę i za tę niewiarę, jaką miał w siebie, objawiającą się krytyką dzieł własnych, trafił, choć surową, gderał na niego i do życia go budził: napróżno.

Lepił Sitko, ale co w ciągu dnia zrobił, najczęściej wieczorem zniszczył.

Zniechęcony i jak ospały chodził. W takim stanie ducha zastała go wiadomość od dalekiego krewnego, dość niechętnie i kwaśno udzielona, że wuj rodzony Sitki, kanonik łowicki, stary skąpiec, umierając, przekazał mu całe swe mienie, wynoszące, jak donosił, przeszło dwakroć sto tysięcy złotych.

Prosper nigdy się ani dwudziestu po wuju nie spodziewał, bo wiedział, że tam inni krewni zabiegali o to i na krodz starca nie odstępował.

Ale właśnie ta okoliczność, iż chcieli czychano na spadek, skłoniła starego kanonika, iż spadkobiercom zgotował niemiłą niespodziankę. Wyraził w testamentie, że reszta rodziny za życia jego, ciepłą ręką była udobrodziejstwioną, a Prosper Sitko nigdy od niego nic nie żądał i nic nie miał. Testament był prawnie i formalnie sporządzony.

W pierwszej chwili nagle tak z bogactwem — osłupiał; potem napadły go fantazyjne najdziwniejsze. Sprawił sobie przepyszne ubranie, kapelusz artystyczno-włoski, płaszcz hiszpański. Z Dreznia nie chciał mu się oddalać; wyprawił znanemu prawnikowi pełnomocnictwo. Chciał sobie nająć pracownię i ogólny posąg lepić. Wahając się między Apollinem a Sobieskim. Potem przyszła mu na myśl Rusałka, naostatkiem Chrzanowska.

Myśli bujały straszliwie. Owa summa dwukroć-stutysięcy wydawała się czemś olbrzymiem i niewyczerpanem.

Nagle, po kilku tygodniach, jednego wieczora,

Sitko, jak piorunem rażony, wyrzekł się wszystkich marzeń i postanowił jechać do Paryża, zamiast do Florencji i Rzymu.

W takim usposobieniu, do niepoznania przeistoczonego artystę, w owym płaszczu hiszpańskim i kapeluszu śpiczastym z wielkimi skrzydłami, spotkał w rynku nowego miasta, naprzeciw Saskiego Hotelu, hr. Zygmunt, którego doktorzy wyprawiali do Włoch, dla jakiejś piersiowej słabości.

Sitko-by go nigdy nie zaczął, gdyby teraz nie czuł się — prawie mu równym. Miał dwakroć stotyście.

— Pan hrabia pozwoli się sobie przypomnieć?

Roztargniony, smutny jakiś hr. Zygmunt, cofnął się zrazu, w tym strojnym jegomości nie poznając dawnego Sitki. Dopiero po chwili zamyślenia, z uprzejmością, którą chciał nagrodzić zawahanie się swoje, przywitał go serdecznym podaniem ręki.

— Bardzo się cieszę, że pana spotykam — zawołał.

— I, jak pan hrabia widzi — dodał śpiesznie Sitko, który się rad chwalił z łaski losu dla siebie, wcale mi się nieźle dzieje. Ale tego sobie nie winienem — rzekł skromnie, los mi niespodzianie podał rękę.

— A! — zawołał hrabia — ale pan nie porzuciłeś sztuki?

— Ja? a cóżbym robił? I tak się nie nawiele przydam, a gdybym jeszcze nie lepił!

Śmiał się pan Prosper.

Hr. Zygmunt miał na ustach zapytanie o Ludmiłę, piekło go coś się o niej dowiedzieć, ale nie śmiał. Myślał, że dłuższa rozmowa z Sitką, doprowadzi może jakoś nieznacznie do wspomnienia o sierocie. Popańsku więc z grzecznością zaprosił go chciał na terrasę z sobą. Prosper się zadumał nieco.

— Wie pan hrabia co — rzekł — może ja, nie znając tych tam form towarzyskich, chybię w nich. Proszę mi wybaczyć, ale ja już raz przyjąłem zaproszenie pańskie. Zróbże mi tę łaskę i pozwól.

Hrabię się uśmiechnął.

— Z największą chęcią! — odparł.

Sitko skłonił się widocznie uszczęśliwiony. Poszli więc razem; a że p. Prosper chciał i z serca i przez miłość własną wystąpić, hr. Zygmunt ledwie mu się swoim zdrowiem od traktamentów mógł wymówić.

Rozmowa zawiązała się bardzo żywa, naprzód o tem szczęściu, które spotkało biedaka, potem o dalszych planach jego życia i artystycznego wykształcenia, nareszcie o Dreźnie.

Mówiąc o tych, z którymi żył i których tu widywał Sitko, westchnął, napomykając o Ludmile. Skarżył się, że w świat dalej poszła.

— A cóż było tego przyczyną? — zapytał hrabia, rad się z ust jego dowiedzieć prawdy.

— Odgadnąć trudno — westchnął Sitko. — Myślę że wiele i różnych na to się złożyło okoliczności. Pan hrabia, który ja znałem i jej rodzinę, powinien i możesz wiedzieć o tem wszystkim, o czem się innym nie mówi. Miała tu ona do przecierpienia wiele. Uczepił się był do niej człowiek zły, choć bardzo utalentowany, można powiedzieć, genialny. Panna Ludmiła nie mogła go nawet o nic złego posądzić. Tymczasem, za jej dobrą wiarę, ludzie ją ogadywali — rzucano potwarze.

Zygmunt wpatrzył się w niego bacznie.

— Lecz — przerwał — były-li to potwarze? nie istniało tam nic co do nich powód dać mogło?

Sitko aż się zerwał z krzesła.

— A! panie hrabio — zawołał z uniesieniem, jak tego anioła można posadzić nawet?! Była grzeczna i wdzięczna dla tego łotra, ale nic więcej. Chciał z jej dobroduszości korzystać, ale ja wiem to najlepiej, że go ze wzgardą odpędziła.

Zygmuntowi twarz się rozjaśniła, wyciągnął rękę ku Sitce i odparł uciechony:

— Opowiedz mi pan wszystko, co wiesz. Mam największą sympatię dla p. Ludmiły, znam jej rodzinę, doszły do mnie potwarze, jestem winien, że w nie uwierzyłem: mów pan.

Sitko, który, przyjmując hrabiego, wypił winy kieliszków parę, a teraz też wogóle daleko był śmielszy, rozpoczął szczegółowe opowiadanie, w którym zamknął wszystko co wiedział i czego był świadkiem w Dreźnie. Gdy mówił, Zygmunt naprze-

miany bladł, czerwieniał, zżymał się, poruszał, a naostatku pocziwego chłopaka uściskał. Nauczył się go cenić, a był mu nieskończenie wdzięczny, że mu ideał jego znowu na dawnym piedestale postawił.

— Dokąd-że się udała? — zapytał.

— Do Paryża — odparł Sitko. — Tak przynajmniej sądzę, tak chciała uczynić, lecz czy tam wytrwać mogła, czy potrafiła sobie radzić, czy znalazła opiekę?

Westchnął zachmurzony. Nie chciał się przyznać przed hrabią, że i on tam miał zamiar ciągnąć, nie dla siebie, ale w myśli odszukania jej i zaciągnięcia się do niej na służbę.

Wrażenie, jakie rozmowa ta uczyniła na hrabi Zygmuncie, byłoby nie uszło cokolwiek baczniejszego oka, niż Sitki. Ze smutnego i roztargnionego stał się ożywionym i wesołym prawie, a dla Prospera tak nadzwyczaj uprzejmym i serdecznym, jakby mu największą był winien wdzięczność. Nic go z początku nie zdawało się obchodzić: teraz i sztuka i los przyszły artysty budziły w nim zajęcie najżywsze.

Sitko też rozruszał się, rozgadał i mnóstwem drobnych szczegółów z dawnego życia sieroty dopełnił obrazu jej pobytu w Dreźnie, tego, co przecierpiała i na co była wystawiona.

Spotkanie to, przypadkowe, na obu oddziało szczęśliwie: Sitko, wylawszy się tak przed hrabią, czuł się mężniejszym i silniejszym; hr. Zygmunt pożegnał go w usposobieniu zupełnie odmiennem, niż powitał. Pospieszył do hotelu dla napisania listów do domu i wydał rozkaz służbie, ażeby na-zastrz rano była gotową do drogi.

Jechał do Paryża.

Brzemie ogromne spadło mu z piersi. Ludmiła, którą miał za straconą, odzyskała dlań dawny urok, zwiększony jeszcze blaskiem, jaki daje męczeństwo. Odszukał ją, stawało się dlań zadaniem, obowiązkiem, koniecznością. Zdawało mu się niepodobieństwem, aby na ślad jakiś nie trafił, aby, bodaj z pomocą urzędu, nie wynalazł utopionej w tym milionie najróżnorodniejszej ludności Paryża. Co miał dalej począć? nie wiedział sam, lecz czuł z tego rosnącego przywiązania, z tego, co wycierpiał, gdy mu się jej wyrzec przyszło, iż — ona mu była do szczęścia potrzebna.

Sitko, który się nie przyznał do tego, z równem postanowieniem gonienia za sierotą, dla cichej służby i opieki nad nią, wybierał się do Paryża. Oczekiwał tylko na wiatyk, który mu nadesłać miano.

Zygmunt, który na nic czekać nie potrzebował, nazajutrz rano był już w drodze, z największą niecierpliwością wyglądając przybycia do stolicy. Miał tu i własnych i rodziny swej znajomych, przyjaciół i krewnych: spodziewał się więc i z ich pomocą trafić na ślad Ludmiły.

Nadzieja ta omyliła go zupełnie. Z mnóstwa osób, na które mu się w towarzystwach trafiać zdarzało, nikt o istnieniu nawet jakiejś panny Ludmiły Brzeskiej lub Ściborzanki nie wiedział.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Prater. — Wielki Tydzień. — Wiosna. — Przygotowanie do uroczystości weselnych. — Jak się Wieś bawi. — Wykłady publiczne. — Zakłady żeńskie dobroczynne a nędza. — Wystawy. — Teatra. — Koncert Liszta i ks. Czartoryskiej. — Ludność żeńska według spisu ostatniego.

Wiedeń, w Kwiecie 1881 r.

(?) Muszę zacząć tym razem od końca, od tego, co było oczekiwane z całą corocznie powracającą niecierpliwością: od pogody. Zawitała wiosna w sam Wielki Tydzień: więc święta Zmartwychwstania były wesołe i wspaniałe. Wiedeń cały, bez różnicy wyznań wyruszył na ulice i na groby; w każdym kościele Lamentacye, Siedm słów lub Gorzkie Żale. Śpiew i muzyka za darmo; za niemi Wiedeń przepada; te dwie ponęty wystar-

czają na to, żeby się roilo po ulicach, a kościoły były zatłoczone tłumami. Pobożność grała w tem także pewną rolę; ale, jak w każdej stolicy, najmniej. „Groby“ tutejsze — to nie nasze. Niby to samo, boć Kościół katolicki jednakże wszędzie ma formy; ale przecież brakło tej mistyczności, tej nawiąskowości wiary, która u nas Wielki Tydzień takim urokiem odziewa. W Votivkirche, na przykład, sprawiono ze składek nowe urządzenie grobu, nowe, nowożytnie, wszystkie dzienniki je opisywały, że jest artystyczne, nie mistyczne....

Pobożnością, pompą ceremoniału i dobrym przykładem odznaczają się wielkotygodniowe uroczystości kościelno-dworskie, zwłaszcza mycie nóg przez cesarza i cesarżową starcom i starszkom w kościele Augustyanów i processya z udziałem całego dworu po ulicach w Wielki Czwartek. Mycie nóg, przy którym pełnią służbę także wszyscy urzędnicy i panie dworskie, paziowie i gwardya cesarska, jest aktem wspaniałym i rzeźnym, dającym sposobność do rozwinięcia całej etykiety, a w processyi uczestniczy cała służba dworska, aż do kuchcików. Starszkwowie wybierani są z biednych warstw ludności, co rok inni; dworskie karety; po obmyciu nóg każdy dostaje całą uczkę do domu i woreczek z kilku dukatami.

Nie zawadzi dodać, że dzienniki opisują strój każdej damy dworskiej, w jakim była przy tych uroczystościach.

W same święta, uprzedzając majową inaugurację wiosny, cały Wiedeń wyruszył do Prateru, swojego *Bois de Boulogne*. Tu jest terytorium zabawy ludowej, tu i prawdziwy lud wiedeński poznać można; lecz z tem poczekamy do Maja.

A Maj ten będzie głośny i radosny; już od połowy Kwietnia stolica przygotowywała się na uroczystości zaślubin następcy tronu, w czem, oprócz istotnego przywiązania do panującego domu, wielką gra rolę chciwość zabawy, widowisk, niemniej — i niemniej powszechna w Wiedniu, niż w Paryżu.

Liczyby wykazujące: jak się Wiedeń bawi, mogą w tej mierze objaśnić. Podam tu daty z 1880 r.: Teatrów przyzwoitych 12, w nich przedstawień 2,812; dwie szkoły dramatyczne, w nich przedstawień 121; produkcji amatorskich 194, przedstawień małych nadwornych teatrów 174; koncertów 1,916; przedstawień w towarzystwach zamkniętych 211; w cyrku 183; sztuk gimnastycznych 1,462; magicznych i czarodziejskich 825; teatrów małych 98; zabaw w Orfeum, Elisium, Universum i różnych Cafés chantants 917; produkcji w tak zwanych Singspielhallen 1,835, produkcji Volks-saengerów 12,659, balonowe 3, ogniowe 1, strzelnicze 44. Balów i zabaw tańczących: dworskich i dyplomatycznych 5, maskowych 252, zwykłych 516, soirées 827, dobroczynnych 20, zamkniętych 49. Kraenzchen (najulubieńszych) 903, zamkniętych balów 49, wieczorków wokalnych, akademij i t. p. 163 — niemówiąc o setkach prywatnych zabaw. Muzyk balowych, tanecznych 8,451; kawiarni i cafés-restaurants 232, piwiarni, winiarni, gospód 2,887, szynków wódek 1,624, szynków kawy 345, garkuchni 120, kuchni ludowych 10, zakładów dla zupy i herbaty 7, hoteli i zajazdów 149, hoteli: „garnis“ 14, wyścigów konnych 8, wozowych 5, strzelnic 8, łyżwiarni 14. Wystawy: koni 1, psów 11, drobiu 11. Niewymienione tu są jeszcze kręgielnie i muzea wszelkiego rodzaju, ani też wystawy sztuk pięknych. Zda się przeto, że chciwość rozrywek musi być wielka i ma się czem zaspokoić. Gonitwa za niemi i życie poza domem jest powszechnem. Żadna prawie rodzina w niedzielę i święto wieczoru nie przepędza w domu, bo nie ma służby, albo musi sama sobie służyć. Służba cała idzie na zabawę od południa do drugiego dnia rano, a na święta otrzymuje kolendę osobną na rozrywki.

Powyższy wykaz nie obejmuje wykładów, których jest tysiące, powiększej części bezpłatnych i zawsze pełnych. Zpomiedzy ostatnich zasługują niektóre na wzmiankę. Prof. Benedikt mówił „o stosunku antropologii do narodowości w Austrii“. Wykazywał, że badanie czaszek w Europie udowodnia, iż wszystkie ludy tej części świata powstały z pomieszania ras. Trzy są główne typy czaszek: germański, słowiański, turański. Dowodził, że tak, jak niema już czaszki

specyficznie francuskiej, lub niemieckiej, tak samo niema i żydowskiej; że czaszki żydów ulegają przeobrażeniu nakształt czaszek ludów, pomiędzy którymi mieszkają, tak, iż czaszka żydowska jest dziś właśnie przeciętną europejską (!). Dwa tylko ludy zachowały pierwotną czaszkę: Czesi i południowi Słowianie. Oczywiście, że Niemiec zakończył wnioskiem, iż kultura niemiecka (!) wpłynęła czasem i na przeobrażenie tych ostatnich. Niemiec, nawet uczony, nie pominął żadnej sposobności, żeby na Słowian nie ujadł. Niemcy, profesorowie uniwersytetów z Inspruku i Czerniowic, protestują n. p. przeciw przywróceniu narodowego uniwersytetu w Pradze. — Prof. Hochstetter mówił o mogiłach i cmentarzach przedhistorycznych. — przedmiot tak skrzętnie uprawiany u nas. Wskazał prelegent, że badania te mają cel podwójny: poznanie antropologiczne rasy ludności pierwotnych, oraz stopnia i właściwości ich kultury. Mówił o epoce kamiennej, o wcześniejszem używaniu metali na południu niż na północy, o epoce brązu, o keltogermańskich grobowcach, o chowaniu i paleniu ciał; wskazał trzy rodzaje grobów: szkieletowe, ciałopalne i mieszane; opisywał mogiły czeskie — a ilustrował opowieść okazami wykopalisk, jak n. p. kosz na sól ze skóry wołowej mający 2000 lat, hełm z Krainy. Widać, że polskie badania nie są prelegentowi znane. Zakończył Hochstetter zapowiedzią powrotu do ciałopalenia w naszych czasach. — Jak ludność tutejsza korzysta z wszelkich otwartych dla niej zakładów, mogą objaśnić n. p. daty ruchu w Muzeum austriackim dla sztuk i rzemioł. W r. 1880 zwiedziło zbiory muzealne osób 174,396, biblioteki używało 25,225, z tych 17,542 w dzień, 7683 wieczorem; na wykładach było 4525 słuchaczy — razem 200,146, z których 6293 (3%) płaćło wstęp. Liczba korzystających z biblioteki podniosła się w jednym roku o 5000; wykładów było 16. Do szkoły rzemioł artystycznych (Kunstgewerbe) uczęszczało 276 uczniów, 44 słuchaczy, 64 dziewcząt. Osobnych wystaw było dwie: fotograficzna i rzemioł artystycznych.

Dobroczynność wiedeńska nie mniejszą jest od chęci zabaw, bo też jest i nieodzowną wobec wielkiej nędzy, która daje tak częsty powód do zbrodni, zabójstw i samobójstw z rozpacz *głodowej*, jak n. p. szewc Weigl, który zabił żonę, troje dzieci i siebie zabić usiłował. Łatwość znowu i wesołość wiedeńska jest dobrem polem dla wyzyskiwania przez rzezimieszków wyższego rodzaju, kawalerów, jak n. p. uwięziony właśnie Hoffmann, którym się już wazsa prassa codzienna *con amore* zajmowała. Łotr ten, po dokonaniu mnogich i zręcznych oszustw, prawie we wszystkich stolicach, gdzie odgrywał rolę barona, należał do złotej młodzieży; wyrobił sobie tytuł jakiegoś konsula; nareszcie przez kilka miesięcy w Wiedniu dalej tę karierę prowadził. Zyskał kredyt, zarwał ludzi na setki tysięcy, skompromittował wiele osób z wysokiego świata: aż dopiero złapał się, przesadziwszy dozę, gdy mu się zachciało być pełnomocnikiem jednego z arcyksiążąt. W karierze swojej zdobył i bogatą żonę, którą porzucił... Zapewne ptaszek ten stanie się niebawem przedmiotem powieści i dramatów.

Wielka ruchliwość panuje tu, jak to już wspominałem, na polu działalności kobiecej. Znowu przykłady. Walne zebranie stowarzyszenia gospodyń, szóste z kolei, pod przewodnictwem pani Otylii Bondy, wykazało bardzo świetne powodzenie. Członków jest 1660. Stowarzyszenie ma swoje sklepy; obrót towarów w r. 1880 wyniósł 284,130 złr. Instytucja pośredniczy bezpłatnie w dostarczaniu służących — w r. ubiegłym miało to miejsce 2305 razy. Dochód całoroczny 324,913 złr., wydatki 324,170 złr., osobna kasa nagród dla służących obdzieliła ich 20.

Stowarzyszenie nauczycielek i wychowawczyń powzięło nowy poniekąd pomysł na rzecz wsparcia niezdolnych już do pracy nauczycielek loteryą; wygraniemi są wyłącznie celne, artystycznie wykonane prace kobiet, które utworzą osobną wystawę.

Słynna orientalistka pani Rużicka-Ostoic, która tutaj w zakładzie rządowym specyjalnym ukończyła z odznaczeniem kursa języków tureckiego,

perskiego i arabskiego, otrzymała za swój turecko-niemiecki słownik transskrypcyjny od cesarza złoty medal; tak samo od króla bawarskiego. Obecnie otwarto prywatny zakład dla języków wschodnich. Biednym dziewczętom udzielają nauki bezpłatnie. Adres: Elisabethstrasse, 8.

Wystawy mieliśmy: koni, bydła tucznego — w obu były okazy z Galicyi — i kwiatów. Ta ostatnia cieszyła niezmiernym napływem publiczności, odznaczała się też, nietylko mnóstwem i bogactwem kwiatów i jarzyn, ale i gustem urządzenia. Rośliny, których kwiat wyrasta ze środka liścia, chrzan 3 stopy długi, a gruby jak ręka, w skrzyniach kultura pieczarek: to były okazy najciekawsze. Wszelkie narzędzia i meble ogrodowe uzupełniały obraz. Wśród palm, paproci, kamelij, róż, fijołków i lasów konwalij, przy muzyce, a odurzającym zapachu, publiczność radaby była nie wychodzić wcale z tych sal.

Teatra zawsze pełne. W Wiedniu grają wybornie *Divorçons* Sardou, ale też tyle *nowego*; oryginalne niemieckie sztuki, których kilka dał Stadttheater, nie utrzymywały się wcale. Carltheater świetnie robi interesa na słońcu, który jest główną atrakcją wznowionej *Podróży naokoło ziemi* Verne'a.

W „zamkniętem towarzystwie“, w sali ministerium oświaty odbył się koncert, jeden z tych, które słuchaczowi jako pamiątka w duszy się zapisują. Grał *Liszt* z księżną *Marceliną Czartoryską* i z udziałem tutejszych znakomitości, a między niemi hr. *Giżyckiej-Zamojskiej*. Szopen, Beethoven, Szubert i t. d. — towarzystwo najwyższe, a gra mistrzów, „może ostatnich“ szopenowskich: był to także „koncert nad koncertami“.

Z dokonanych zestawień spisu ludności w Wiedniu, niektóre liczby mają ogólniejsze znaczenie. Ilość ludności *żeńskiej* jest w Wiedniu większą od męskiej o 41,000; od 90 lat do 100 dosięgło tylko 81 osób; bezwyznaniowych 1239, — ani czytać ani pisać nie umie około 70,000 mieszkańców! W liczbie tej niema dzieci do 6 lat. Czechów i Morawian wykazano 23,342, a jest ich tu około 250,000; Polaków wykazano 907, a jest ich przeszło 30,000: oto gospodarka biurokracji germańskiej.

Według zajęć ludności żeńskiej jest w Wiedniu: zakonnic 979, urzędniczek czynnych 20, nauczycielek 2790, literatek 25, artystek dramatycznych 739, innych artystek 53, przy służbie sanitarnej urzędniczek 5, służących 870, agronomek 133, dzierżawczyń 4, trudniących się przemysłem 4855, górniczek 2, przy zajęciach bankowych 14, przy służbie transportowej 116, kapitalistek 9460, emerytek żyjących z pensyj 5154, zakładów wychowawczych żeńskich 32, zakładów dobroczynnych żeńskich 19, — razem samodzielnie stojących kobiet 31,518. Oprócz tego personel pomocniczy służebny w zakładach etc. 2378, robotnic 49,376, służących domowych 75,238. Nie wymieniono tu pocztarek i telegrafistek, o których osobno kiedyś napiszę.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Helvia, dramat w 1 akcie, prozą, przez Władysława Okońskiego (p. Alexandra Świętochowskiego) napisany, przedstawiony po raz pierwszy na scenie Teatru Rozmaitości, d. 5 Maja 1881 r.

Pławiący się w życiu współczesnem talent pana Świętochowskiego kilka razy już, dla napisania dramatu, nawiedzał, zawsze uroczy, i mimo własnych przekonań historyzoficznych Autora, nadługą jeszcze żyzną i bogatą, dziedzinę Starożytności. W zbiorze *Dramatów Władysława Okońskiego* znajdujemy trzy utwory osnute na życiu Starożytnych: *Antea* i *Na targu* przenoszą nas do Aten w IV i V wieku przed Chr.; *Helvia* zatrzymuje na epoce Cezara w Rzymie. Do napisania tego ostatniego utworu pobudziła p. Świętochowskiego *Młodość Cezara* przez Rovaniego (w przekładzie p. Piotra Żubrzyckiego), pobudziła, nie tematem swoim, ale sposobem przedstawienia. Za przykładem włoskiego pisarza autor *Helvi* posta-

nowił wydobyć lepsze, ruchliwsze żywioły spod majestatu właściwego Rzymowi. Jak tego dokazał? Zobaczmy.

Bohaterką utworu jest córa jednej ze znakomitszych rodzin rzymskich. Zwycięstwa Cezara, który za sceną tryumf odprawia, upoiły ją i do rydwanu imperatora przykuły. On podczas tryumfu tak łaskawie na nią spozjrzał — on ją kocha! Niezmiernie dla niej narzeczony Licyniusz: kochała go przedwczoraj, wczoraj nawet, ale nie kocha już dziś. „Chociaż nawet zostanie żoną Licyniusza, wolno jej będzie kochać Cezara“, bo „miłość żon dla bohaterów nie powinna być obrazą dla mężów“. „Wolałaby być zgniecioną stopami bohatera, niż wzniesioną ramionami tchórza.“ Tchórzem jednak nie jest Licyniusz, bo już w minutę potem Helvia, przerażona, błagać go musi, aby Cezara przed sąd bogów nie posyłał: tchórzami są tłumy obywateli rzymskich i dlatego właśnie, że Cezar odwagą i bohaterstwem nad nimi góruje i po głowach ich chodzą, Helvia go kocha. Winę Licyniusza stanowi to, że nie jest Cezarem, Cezara zaś sługę to, że nie jest prostym, choćby najlepszym, obywatelem Rzymu. Helvia potrzeba koniecznie kochanka, któryby zdławił Hiszpanię, ujarzmił Galię, ukuł kajdany na Rzeczpospolitą i miliony oczu i serc na siebie zwracał. Takiego tylko kochać może; a że takim był tylko Cezar w ówczesnym Rzymie: więc tylko on na miłość jej mógł zasłużyć.

Ala nie śpi tyran, choć go na scenie nie widzimy wcale. Brata Helvia, Scipiona, i kochanka, Licyniusza, postawił przed sądem krzywoprzysiężnym. W chęci wybawienia rodzzonego swego Helvia znajduje nową podjętą do upragnionego już widzenia się z Cezarem. Posyła swą niewolnicę Mirę i zyskuje od tryumfatora obietnicę przybycia wieczorem na schadzke. Upojenie jej stało się już na szczycie, nad przepaścią: albo do nieba, albo na dno! Ani jedno, ani drugie.

Helvia zastanawiają słowa Cezara wyrzeczone do Miry: „Scipio i ktoś jeszcze (Licyniusz) ustąpić muszą z drogi, ażeby nam jej nie przegradzali“. Bohaterka dramatu nie chce wierzyć w opowiadanie niewolnicy; przestrasza się, gdy pomyśli o rzeczy ukrytej pod słowami, wpada w zamyślenie i usiłuje się przekonać, że Cezar nie powiedział tego, co mu niewolnica przypisuje. To zamyślenie się jest już pierwszym otrzeźwiającym czynem. Przybywa Scipio, z więzienia przez matkę Kryspinę wyrwany na to, aby tegoż samego dnia pójść na wygnanie — za jakiś satyryczny wierszyk na Cezara. Wesoły chłopiec naiwnie prowadzi dalej dzieło otrzeźwienia; ośmiesza Cezara, maluje dosadnie dziki chłód jego sercadla kobiet, jego lekceważenie żon i kochanek, pychę tryumfatora wobec uwielbień; kresli wstrętne obraz dziewczę i kobiet rzymskich, rzucających mu się pod nogi, i narzeszcze, w nieustannej naiwności, doskonale do charakteru przypadającej, zawiadamia Helvię o łaskawości rozamodarowanego Cezara dla niejakej Julii, siostry ciotecznej Licyniusza.

Helvia myślała, że jest sama jedna tylko dziś kochaną, że ją samą tylko wybrał Cezar z całego tłumu tych „dawniejszych i nowo-zamianowanych kochanek“, które czepiały się u jego rydwanu: a tu wyrasta nagle współzawodniczka, i kto wie czy nie na wyższym ołtarzu, w tej wielo-ołtarzowej świątyni, jaką było serce Cezara, postawiona! Miłość Helvia, podkopana już pierwszej, teraz zaczyna się chwiać i upadać. „To byłoby niegodne“, wybucha wyzwalająca się już z pęt i rozpaczliwie woła: „Prawdy“. Tę prawdę, całą prawdę, przynosi jej matka. Wraca właśnie z sądu — nie wiemy z jakiego: czy z senatu, czy z sądu przysięgłych, jakie wówczas jeszcze istniały? Sędziowie chcieli skazać Scipiona na karę lżejszą: Cezar dopomnił się wygnania aż do Tracji. Niedosć tego. Helvia słyszy z ust matki, jak jej w sądzie powiedziano: „U Cezara nigdy matka nie wyprosi syna, ale często siostra brata. Wracaj do domu, Kryspinie, i przyslij tu piękną Helvię“. Te słowa uleciały już zupełnie duszę dziewczyny z obłędu. Spokojna i milcząca nazewnątr, w chwilę później, po przybyciu Licyniusza, otwiera duszę swoją ze skrucą, wyznaje cały swój obłęd, nazywa Cezara tyranem i postanawia wspólną krzywdę pomścić sztyletem — na owej schadzce wieczornej. Rola

zatem „nowo-zamianowanej kochanki“ ma się zakończyć rolą Karoliny Corday. Licyniusz, łatwiejszy od widza i czytelnika dzisiejszego, uwierzył w groźbę i pragnie dłoń pomsty, jako przedwczesną, powstrzymał. Uda się do bez trudu. Sztuka zakończy się błaganiem Helvia, do Licyniusza zwróconem: „Ach, kochaj mnie, bo pragnę“ i odrzuceniem jej słowami: „Nie tu — tam (idź mnie błagać)“. Scipio i Licyniusz idą na wygnanie.

Nie potrzebujemy czytelnikowi mówić, że *Helvia* nie jest dramatem: bo czytelnik sam to widzi z powyższej osnowy wydarzeniowej utworu. Takie osobistości, takie sceny, takie stosunki, takie wydarzenia mogły być znaleźć się w dramacie, ale tak jak są, w takim doborze i powiązaniu, dramatu złożyć nie zdołały. Nietylko Władysław Okoński, ale wyższy nawet talent — a są wyższe — nie stworzy dramatu bez działania, a działania w *Helvia* niema wcale. Cały pomysł, taki, jaki widzimy, lepiej się nadał do „Gedankenpoesie“, niż na utwór dramatyczny. Sam temat zaślepienia, jakiemu ulega Helvia, mógł być dostarczyć wątku, nietylko na jeden, ale na trzy akty, i nietylko na utwór, który się jedynie „dramatem“ nazywa, ale na taki, któryby rzeczywiście już dramatem był: tematu tego jednak nie pojął i nie ukształtował Autor w sobie tak, jak tego sztuka dramatyczna, najtrudniejsza ze wszystkich, wymaga. Mamy przed sobą pewien obraz, malowidło, ustęp z dzieł drugo- czy trzeciorzędnych Rzymu, ale nie mamy dramatu. Czy dlatego, że w *Helvia* panuje jedna tylko osobistość? Nie, ale dlatego, że panując, nie jest dramatyczną. Helvia nie ma charakteru. Nie możemy dotrzeć do głębi jej duszy, nie wiemy: czy miłość jej jest czysto idealnym urokiem, jaki rzuca bohaterstwo, moc, sława, wielkość wojenna, czy jest korzeniem się niemocy przed ogromem? czy też zmysłowem pragnieniem rzucenia się w objęcia tego, kto zdolnym jest świat cały w objęciach swych zdusić, i gdy mógłby mieć tysiąc kobiet na skinienie swoje, jedną tylko wybiera? Kobiety lubią czyny olbrzymie, ale nam się zdaje, że Helvia woli jeszcze samego olbrzyma.

Darmo! poprzez wszystkie piękne zachwyty odczuwamy chłód, zmysłowość tej natury. Kiedy Licyniusz mówi jej, że i zając byłby odważnym, gdyby miał środki Cezara, kiedy wylicza fałszywe jego tryumfy i kresli dosadnie sprzysiężenie się jego na wolność i byt rzeczypospolitej: odpowiedź jej: „dorównajcie mu w siłę“ kala cały ów początkowy urok, oświecający duszę Helvia i nakazuje nam w miejsce idealnego uczucia postawić pychę, która w zmysłowem tylko pragnieniu ukość się będzie mogła. Razi nas w jej ustach, jako istoty czystej, cyniczne słowo do Miry, mówiącej: że pierwszy urok zawsze splunąć trzeba: „Bądź spokojna: to nie pierwszy“. Miłość Helvia — z głowy idzie, nie z serca, a za taką miłością — na pozor idealną, górnolotną, szlachetną i czystą — postępują zawsze zmysły, jeżeli są, a w Helvia były. Serca, uczucia kobiecości — oczywiście, w jej odmianie ognistej — bohaterka p. Okońskiego nie ma. I ten brak serca właśnie odejmuje nam wiarę w rzeczywistą głębokość jej zachwyty, w jej prawdziwość tragiczną, nie pozwala nam uznać jej za charakter. Słów więcej niż rzeczy w całym jej przejawianiu się. Dwudziestoczerogodzinny obłęd który mógł być tragicznym, stał się ostatecznie grymasem, niemającym prawa garnąć się do królewskiej piersi Dramatu. Jeżeli chodziło o wydobycie żywiołów ruchliwszych, trzeba było innej do tego użyć drogi, nie tej, jaką poszedł, goniący wiecznie za oryginalnością i wielce tem sobie szkodziący, talent Autora.

W co mamy wierzyć, co uznawać, jeśli kobiety, której ustosunkowanie się wyobraźniowe do Cezara z powyższego już znamy, kobieta, która odrzucanemu kochankowi mówi: „Bądź tak małym i nieudolnym (jak Cezar) a przysięgam ci, że nawet w popiołach mego ciała tlić się będą dla ciebie nigdy nie zgaszone iskry miłości“: w kwadrans potem odwołuje wszystko, bez boleści, bez wysłowionego jęku, w sposób jaknajbardziej nie dramatyczny, i ma nawet tyle spokoju w umyśle, aby w samym końcu sztuki powiedzieć Mirze: „Wiesz, jak płaci za miłość Cezar“? Raz tylko serce w tej istocie się odzywa: kiedy niewolnicę

przeprasza; zresztą dusza to zimna, płytka, nieprawdziwa. Za to, że nie widzimy w Helvia obywatelki, córki dobrej, siostry prawdziwie przywiązanej, kochanki wiernej, odpowiada Cezar, odpowiada obłęd dla Cezara; ale za to, że ów obłęd jest zimnym, niedramatycznym, nieprawdziwym, że nie pozwala w Helvia uczuć *kobiety* żyjącej — za to już odpowiada Autor. Cała świetność jego stylu, cała jaskrawość wyrażań, cała moc słów nie zdoła nas na stronę jego przeciągnąć, bo nie stylu, nie wyrażań, nie słów nam potrzeba, ale ludzi, dusz ludzkich, uczuć ludzkich — natury człowieczej, pięknie ukształtowanej. Mamy rzetelne przeświadczenie o talencie Autora, i właśnie dla tego, spodziewaliśmy się ujrzeć dzieło lepsze, doskonalsze, prawdziwiej dramatyczne — stojące nietylko mocą swego stylu, ale i wyższą od niej potęgą pojęcia i układu. Styl w dramacie, to tylko pięknie lub brzydko malowane ściany; architektem gmachu może być jedynie duch artystyczny; przezeń tylko powstają: pojęcie i układ dzieła.

Styl Okońskiego jest świetnym, ale byłby świetniejszym, gdyby miał więcej prawdy w sobie i nie chciał istnieć sam przez się. W każdym razie ze względu na styl *Helvia* jest malowidłem imponującym i dzięki tylko stylowi swemu zajmuje i przyciąga. Autorowi, młodemu jeszcze, przypomnieć można zasadę: Pierwej człowiek, a dopiero potem słowo jego. Co charakterowi nie odpowiada, prawdę gwałci, to nie ma prawa znaleźć się w utworze, choćby samo w sobie najświetniejszym było. Tak np. w *Helvia* Kryspina, wołająca do idealnie uprzytomnionego Cezara: „Wprzód zamorduj mi syna, bo ja go macierzyńską ręką jak piorun na ciebie rzucę“ wywołuje, nie wrażenie szczytności, ale niesmak. *Ne quid nimis*. Tak samo Mira nazywająca się „tygrysią“ jest tonem fałszywym.

Przedstawicielem „żywszych“ pierwiastków w utworze Okońskiego jest obok Helvia brat jej Scipio, postać pobieżnie przedstawiona, ale udatna. Licyniusz, niedramatyczny, ale w rzymskim majestacie swym, w męskiej powadze, prawdziwy. Mira i Kryspina — są figurami bez znaczenia. Pięć postaci składa się na dramat.

Poza stylem co jest najlepszego w dramacie? Oto malowanie Cezara będącego za sceną. Wszystko, co o nim mówią Licyniusz, Scipio, Kryspina, odbija prawdziwie charakter gnębiciela i zdobywcy; postąpienie ze Scipionem, i przymilanie się do Julii dodane do tego odbicia wytwarzają całość malowidła, może nie uderzającego doskonałością wykończenia, ale prawdziwego i osiagającego cel: nienawiść i ohydę. Widać, że w Autora nie wsiąkły były jeszcze w czasie pisania utworu mądre wywody Mommsena, z których Cezar wychodzi jak zbawca, jak dobroczyńca, jak jedyny człowiek z prawem i mocą do działania. Historia przyrodniczo-objektywna, znosząca odpowiedzialność, zacierająca pojęcia winy i zasługi uważająca ludzi i narody za atomy i masy, a życie dziejowe za działanie sił ślepych, bezwiednych: to pierwsza współniczka żywiołów burzących moralność, to prawdziwa jędrza na sumienia ludzkie. Sztuka, która by taka historią za progi swoje wpuszczała — musiałaby być przez nią zamordowana.

Rzym, ten ogrom zjawisk i istot, nad którym wzeszło czarne słońce cezaryzmu, dość dobrze w Helvia się przejawia. Nie znać tam wprawdzie studiów, nie widać tła prawdziwie historycznego, ale ton chwili ówczesnej należycie pochwycyony. Ponieważ dramat jest tylko nawpół historycznym, a raczej rodzajowo-historycznym, nie możemy więc wymagać większej dokładności. I tak już czujemy zapadanie się sławnej i silnej Rzeczypospolitej, widzimy ją w usciskach Cezara konającą. Z takich Helvia — a było ich więcej i wyraźniejszych i prawdziwszych w ówczesnym Rzymie — z takich „kochanek“ lecących za rydwanem zwycięzcy, w drugim pokoleniu mógł wyjść tylko senat Tyberyusza tarzający się wprochu, a oplwany nieśmiertelną wymową Tacyta. Prawo upada przez uwielbienie siły, a społeczeństwo przez rozpamiętanie kobiet. Jak mógł Rzym istnieć?

Panna Derynżanka w roli *Helvia* tyle dla sztuki zrobiła, że stworzyła Helvię. Wyższego uznania jej pracy i talentu wyrazić niepodobna; w pierwszej tylko scenie raziła nas pewna nienatural-

ność, — może tylko na tem jednym przedstawieniu, na którym byliśmy obecni. P. Kotarbiński był poważnym i żywym Licyniuszem, a pani Rakiewiczowa szlachetną Kryspiną. Rolę Scipiona starannie odegrał p. Prażmowski. Rolę Miry wzięła na siebie p. Nowakowska; wyręczając w niej panna Micińska.

Stanisław Krzemiński.

Przedhistoryczny początek emancypacji kobiet.

Amerykanin z pochodzenia, ale pisarz należący do angielskiego świata literackiego, członek Antropologicznego towarzystwa londyńskiego, Moncure Dawid Convay, odkrył temi czasy, że kwestya emancypacji kobiety i jej równouprawnienia z mężczyzną starą jest jak świat, ponieważ poczęła się w Raju, z chwilą stworzenia i osiedlenia się tam pierwszej pary ludzkiej. Dowiadujemy się o tem z dwutomowej ilustrowanej książki, wyszłej w Londynie pod tytułem: *Demonologia* (Demonology, by Moncure Daniel Convay — London, Chatto and Windus). Są to dzieje, a razem historia naturalna złych duchów: podziemnych, nadpowietrznych, wodnych, leśnych, a nawet domowych, dzielących się w legendach wszystkich ludów na dwa rodzaje: demonów, których natura jest moralnie lepsza, mniej złośliwa, do poufających stosunków z człowiekiem o tyle skłonna, że często duchy te do przyjaznej zażyłości z ludźmi dochodzą (u nas Iskrzycki) i dyabłów właściwych, szatanów, którzy od stworzenia świata ziemskiego usiłują zniszczyć to dzieło Boże i szkodzić człowiekowi, który objął je w posiadanie. A poczęło się to, niestety! przez kobietę, ale było skutkiem despotyzmu męskiego, którym pierwszy mąż na świecie, Adam, chciał uciśnić towarzyszkę swą i małżonkę, daną mu od Boga. Według tradycji rabinicznej była nią, nie Ewa, ale Lilit, stworzona razem z mężczyzną i w taki zupełnie sposób jak i on: proch ziemski, ożywiony tchnieniem Bożem, powstał, aby myśleć, czuć — żyć całą pełnią istności swojej. Ale mąż począł bardzo prędko dowodzić niewieście, że przy nim jest władza i zwierzchność, ponieważ on jest siłą, która ją złamać może; Lilit przeciwstawiła, dowodziła równości swojej na mocy równego w obojgu ducha, a gdy na to Adam przystać nie chciał, ona obrażona odeszła od niego — uciekła z Raju.

Adam, pogrążony w samotności, czuł się nie szczęśliwym, począł tęsknić za wiarołomną, lecz cudownie piękną Lilit długowłosą, począł skarżyć się Bogu na opuszczenie swoje, aż Pan, wysłuchawszy skargi jego, posłał za zbiegłą trzech aniołów niebieskich, aby nakłonili ją do powrotu. Ale pierwsza kobieta była wyniosłego ducha: nie chciała znać Raju, jeżeliby przeznaczono jej tam być służebnicą mężczyzny, i aniołowie odnieśli odpowiedź tę Bogu, który przecież posłał ich do niej raz wtóry, teraz już z wielką groźbą gniewu swego. Mimo to, nie uległa jednak: nie chciała wracać do Raju upokorzoną pokutnicą i tak spełnił się w pierwszym małżeństwie pierwszy rozwód na ziemi, a Bóg stworzył Adamowi żonę drugą, także bardzo piękną, ale pięknoscią już pośledniejszą, mniej szlachetnego wdzięku: Ewę, która została matką rodu ludzkiego. Ale na znak, że ma być poddana mężczyźnie i jako istota niższa woli jego podległa, wywiódł ją z boku Adama, z kości jego żeбра. Żyli oboje w ogrodzie rajskim, spokojni i szczęśliwi, podczas gdy zbuntowana i krnąbrna Lilit dręczyła się samotna w przestworach pustych, żałując straconej przeszłości rajskiej i skarżąc się zarówno na Boga i na mężczyznę, że stała jej się krzywda, że padła ofiarą okrucieństwa i niesprawiedliwości. Wtedy duch złego, Boga przeciwny, który krażył w przestrzeni, Samael, przystąpił do niej i pozyskał ją sobie, uczynił małżonką swoją, matką rodu szatanów, i ona to, mocą piekielną już przejęta, już ją podzielała, zgubiła pierwszego człowieka przez zem-

stę i zazdrość. Przemieniona w węża, przekradła się do Raju i skusiła Ewę do grzechu: do nieposłuszeństwa Bogu przez pożądanie owocu z drzewa wiedzy złego i dobrego, który podmiotowa zerwała i pokosztowała sama, podała Adamowi, aby go spożył — oboje stali się zatem grzesznymi, oboje byli zarówno winni i razem też z Raju wygnani.

Legenda, o której może nie wie autor „Demonologii“, podaje, że pierwsza iza na świecie padła wtedy — padła z oczu kobiety, nie nad sobą przecież, ale nad ukochaniem swem, straconem i cierpiącym: nad Adamem skazanym na trud i upokorzenie schylenia nad ziemią twardą czoła uznojonego. Ta iza była odkupieniem kobiety, zmażaniem jej winę, była sakramentem dla jej miłości, podniesieniem ponad słabość i upokorzenie. Przez ofiarną miłość Ewa staje się podwyższona i silna, mocna tą mocą, która „wszystko może“ — mocniejsza zatem od Lilit, ponad którą ma też zapanować tak, jak uszlachetnionej, podniesionej ludzkości danem jest zapanować nad piekielnoscią — nad dyabelstwem.

Wracając do legendy talmudycznej widzimy, że Michał Anioł poszedł zanią we freskach kaplicy Sytyńskiej, gdyż moc kusząca Ewę jest tam przedstawiona w postaci czarownic pięknej kobiety, której ciało przedłuża się w ogon węzowy. Podaje ona jabłko Ewie, miękko spoczywającej na murawie. Adam stoi i we wzruszeniu namietnem pochyla się ku kusicielce.

Walka kobiety gwałtownej z kobietą słodką, rozpoczęta pod cieniem jabłoni rajskiej.

Moncure Convay odkrył w podaniach perskich zbliżoną do hebrajskiej legendę o pierwszym małżeństwie. Pierwsza na ziemi para ludzi: Meschian i Meschia, stworzeni przez Boga dla siebie, zapłoneli też wzajem miłością gorącą i żyli w harmonii, w rozkoszy istnienia podobnego rajskiemu, póki „pierwsza własność nie rozbudziła w nich chęci panowania i utwierdzenia władzy swojej. Skoro zbudowali sobie chatę, wnet wyklęła w niej kłótnia o pierwszeństwo przy ognisku domowym i zatrąla serca małżonków. Miłość ustąpiła przed namietnością gniewu i uczuciem rozżalenia; rozłączono się w nienawiści i lat pięćdziesiąt upłynęło im w rozdzielnosci, w samotnem przeżywaniu wspomnień gorzkich, aż w końcu potrzeba pomocy wzajemnej zbliżyła ich znowu i pogodziła ze sobą. Ale nie mógł to już być ów idealny związek serc i dusz z pierwszej doby małżeństwa, związek ugruntowany na gorącej miłości: ona pamiętała jak mąż chciał ją nagiać w jarzmo gwałtem siły, on niezapomniał jak ugryzła go w serce złośliwością swoją i zaciętością w gniewie. Więc mężczyzna był chłodno obojętny, kobieta nauczyła się być chytrym podstępem „jak wszyscy którym cięży tyrania przemocy“, pisze autor Demonologii i we zwrocie do dzisiejszego stanu rzeczy rzuca pytanie: „co zyskał Adam, dostawszy za dumną, wyniosłego ducha Lilit, cichą i pokorną Ewę?“ — „Miała ona podobne tamte pragnienia, ale nartując w niej skrycie, pokusiła się też o dostanie choćby z rąk szatańskich tego, co sądziła że przez wiedzę da jej władzę“.

Moncure Convay nazywa też Lilit protomęczennicą niepodległości i godności ducha kobiecego, postacią stokroć szlachetniejszą, wyższą niż Ewa, której też nie odziewała już piękność tej pierwszej niewiasty, dostojnie urodzonej z twórczego tchnienia Boga na ludzkość. Wedle niego nie jest też ona matką szatanów, ale duchów niepodległych; wykłęła ją tylko i stracili w piekielnosć ludzie Wschodu, razem despotci i rozkoszniki, pragnący, aby kobieta była ich rzeczą, ich własnością, którą chcieli trzymać w poniżeniu i zawiści, bojąc się, aby czarem swych uroków oblubienica nie zawiadnęła nad oblubieńcem, nie uczyniła go niewolnikiem swoim.

Tak w hebrajskiej, jak w perskiej legendzie widzi Convay płód niezmiernie bystrej obserwacji i przyznaje obydwom wysoko filozoficzne znaczenie. Są one śladem, że już w pierwszych wiekach historycznego istnienia człowieka na ziemi, brutalność mężczyzny i naturalne dążenie kobiety do wybicia się z pod jego przemocy, wnosily rozstrój i nieszczęście w głąb stosunków rodzinnych i wzruszały niejednokrotnie spokój społeczeństw. Ilustrując też swoją, jak mężczyzna pozosta-

wiony bez oporu wrodzonym instynktom surowego despotyzmu, może dojść do okrucieństwa i lekceważenia, nietylko kobiety samej, ale i jej istnienia, przytacza autor takie prawo ze starożytnego kodexu angielskiego. — Zabójca w pewnych okolicznościach łagodzących miał prawo uciec się pod protekcją przywileju, przysługującego duchownym i w takim razie dość było dla ulaskawienia skazanego, aby potrafił przeczytać parę wierszy ze starożytnych rękopism saxonskich. Kobiety przecież nie były przypuszczone do korzystania z tego, co pisane prawo normandzkie nazywało „benefice du clergie“ i wieszano je też za takie przestępstwo, które mężczyźnie nie odbierało nawet wolności. Pod Jakubem I parlament uderzony został tak wielką nierównością w wymiarze sprawiedliwości i w 1623 r. wydał akt, aby kobieta przekonana o występek, który mężczyźnie dawał możność do korzystania z beneficium duchownych, podlegała za pierwszym razem: piętnowaniu na mięsistej części wskazującego palca lewej ręki gorącym żelazem, formy T rzymskiego, potem oświeczona różgami i okuta w kajdany, wtrąconą była do więzienia, lub odsyłana do domu kary i poprawy na czas, nieprzechodzący jednak roku jednego. Za drugim razem przecież cóż jej zostawało? Sądzić trzeba, że szubienica...

Pomyślmy, że to się działo w trzecim dziesiątku siedemnastego wieku!

Moncure Convay dodaje, że prawo to nie jest może dotąd zwalone, tak, jak to drugie, pozwalające mężowi, aby na szyję żony „nieposłusznej, złośnicy i gadatliwej“ założył postronek i zaprowadziwszy ją tak na rynek, sprzedał. Książka jego mieści wiele szczegółów ciekawych, ale pisana jest namietnie, bez powagi i spokoju dzieła naukowego, często poamerykańsku excentryczna. Przytem ultra-radykalista wytacza w historii złych duchów surowy proces wszystkim Kościołom świata, składając na nie winę za wszystkie przesady, wszystkie uciski, cierpienia i ciemnotę, którą przeżywała ludzkość wyrabiająca się i dorabiająca w pochodzie wieków światła dzisiejszych pojęć. Patrzy na przeszłość ze stanowiska naszej chwili, więc też sądy jego są fałszywe, wnioski bez znaczenia i czytelnik wynosi na korzyść wiedzy zbagacanej te tylko, co znajduje tu jako materyał surowy.

M. I.

Korrespondencya zagraniczna.

Wydawnictwa Towarzystwa Pedagogicznego. — *Sadownictwo* Rohringa. — *Nauka ręcznych robót kobiecych* przez Anielę Grzywińską. — *Geografia* przez prof. Benouiego i Tatomira. — *Ziemie polskie, lekcye geografii, połączone z etnografią*, przez Julię Selingorową. — Podręczniki dla szkół przemysłowych. — Biblioteka dla młodzieży. — *Dzieci i ptaszki*, przez W. Belzę. — *Śpiewnik* przez Czubskiego. — *Sto wierszyków*, przez Smettauera. — Telefon nlepszony przez Machalskiego. — Rozmowa z Brodami. — Album pamiątkowe dla arcyksięcia Rudolfa. — Teatr. — Nowa dyrekcyja. Występy gościnne pp. Święckiej, Chomińskiego i Rapackiego.

Lwów, w Kwietniu 1881 r.

(Dalszy ciąg).

Równie dobrze ułożona jest książka zawierająca naukę rachunków. Miano tu główny wzgląd na sposoby ułatwiające praktycznie każdy rachunek, i obok treściwie wyłożonych zasad arytmetyki, są też podane wzory obliczeń szczególnie dla kupca i przemysłowca przydatne. Podręcznik ten jasnością zawartego w nim wykładu korzystnie odbija od książek do nauki rachunków zaprowadzonych w innych szkołach tutejszych, które celują zawiłym wykładem i ciemnością stylu.

Najnowszemi czasy zwróciło Towarzystwo Pedagogiczne także uwagę na potrzeby najniższych szkół początkowych, a mianowicie na *Ochronki* znajdujące się przy szkołach ludowych i wydzielowych, i rozpoczęło wydawać *Bibliotekę dla młodzieży*, przeznaczoną dla najmłodszego wieku, dla dzieci. A że wierszyki najłatwiej się w pamięć

dziecka wdrażają i najmilej zajmują jego wyobraźnię, więc i tutaj zaczęto od poezji, od wierszyków. Pierwszy tomik rzeczony biblioteki zawiera, pod tytułem *Dzieci i ptaszki*, dwanaście krótkich wierszyków, przyozdobionych ilustracjami, z których każdy podaje opis jakiegoś ptaszka i zręcznie ułożoną o nim bajeczkę. Zadaniem tej książeczki, napisanej przez p. Władysława Belzę, jest obudzenie w młodzieży wiejskiej już od najwcześniejszych lat życia litości względem ptaszek, których gniazda swawola chłopięca tak niemiłosiernie dla dzikiej niszczy zabawki. Powtarzając wierszyki tu zawarte, dziecię nabiera miłości przyrody, miłości ptaszek, które następnie szanować będzie, a przytem wogóle nabędzie łagodniejszych uczuć, sympatycznego na naturę poglądu. Zadaniu temu odpowiada dobrze książeczka p. Belży, chociaż wiemy, jak trudno jest pisać poezję tendencyjną, bo natchnienie nie znosi przymusu i nie daje się kępować zgóry narzuconymi tendencyjami. P. Belża wszakże ma szczególniejszy talent pisania dla dzieci, umie on się z niemi porozumiewać ich językiem i dobrać stosownej obrazkowej treści. Wierszyki niniejsze o ptaszkach mają też w sobie prostotę i obrazowość: największe zalety książki przeznaczonej dla dzieci.

Dawniej już wydało Towarzystwo Pedagogiczne *Śpiewnik polski dla ochronek*, ułożony przez Jana Czubskiego. Wiadomo, że w metodzie Froeblovskiej, zaprowadzonej we wszystkich tutejszych ochronkach z pewnemi modyfikacjami, śpiew i muzyka znaczną odgrywają rolę. Dzieci śpiewają, i śpiewając, w takt muzyki bawią się i wykonywają pewne zajęcia odpowiednie rytmowi i treści piosenki. Otóż, przy takiej metodzie rzecz ważna, aby podać dzieciom śpiewkę stosowną, odpowiednią pojęciom dziecięcia i jego zabawce, a zarazem nauczyć właściwej nuty. Ten cel ma *Śpiewnik* p. Czubskiego. Do wszystkich piosenek jest tu podana nuta, a wybór treści, z wyjątkiem może jednego lub dwóch wierszyków, trafnie dokonany. Rada szkolna zaleciła też *Śpiewnik* niniejszy do użytku we wszystkich ochronkach. Dotąd wyszedł dopiero tomik pierwszy, zawierający piosenki na jeden głos, dla I klasy. Dalsze tomiki, przeznaczone już dla wyższych klas ochronek wydziałowych, będą zawierały także śpiewki chóralsne. Całość składać się ma z pięciu tomików.

Śpiewnik p. Czubskiego, jakkolwiek ma swoje zalety, uznane przez Radę Szkolną, nie może wszakże porównać się pod względem wartości z wydany przed laty kilku zbiorem podobnym, przeznaczonym dla nieco już starszych dzieci, dla początkowych szkół ludowych, przez Jana Smettauera, nauczyciela szkółki ludowej przy seminarjum pedagogicznem w Tarnopolu. Zbiór p. Smettauera noszący tytuł: *Sto wierszyków i bajeczek*, z dodaniem także nut do niektórych, jest w swoim rodzaju najlepszym jaki nam się widzieć zdarzyło, i szkoda tylko, że dotąd nie jest tak, jakby należało, rozpowszechniony.

Czyniono tu ciekawą próbę z telefonem ulepszoną przez p. Machalskiego. Próbie przytomni byli członkowie Towarzystwa Technicznego, wielu profesorów i liczne grono zaproszonych osób. Połączono telefonem Lwów z Brodami, i rozmowa odbywała się pomiędzy temi dwoma miastami na przestrzeni mil kilkunastu. Systemat p. Machalskiego okazał się bardzo dobrym; głos albowiem tu i tam dawał się słyszeć bardzo wyraźnie, z wszystkimi odcieniami, tak w mowie, jak w śpiewie. Nie tylko że każde słowo słyhać było doskonale, ale osoby znajome poznawały się po głosie. Każdy instrument grający rozeznac było można po dźwięku. Tony harmoniki, na której grano we Lwowie, dolatywały do Brodów, tak, jakby z przybocznego odzywały się pokoju; a gdy w Brodach zaintonowano chórem pieśń jakąś, goście zebrani w sali politechniki lwowskiej byli jakby na koncercie wokalnem, któremu się z przyjemnością przysłuchiwano. Oprócz muzyki i śpiewów chóralnych, toczyła się ożywiona rozmowa, przeplatana żartami i rozmaitemi konceptami:

Wlaził kotek na płotek
zanócił ktoś we Lwowie:

Piękna to piosieczka — nie długa...

odpowiedziano tejże chwili w Brodach. Zadziwiająco są to zaiste wyniki postępu, jakimi cechuje się wiek dzisiejszy — wiek pary i telegrafów. Zdaje się, że i telefon, przy dalszem jeszcze udoskonaleniu, zajmie zczasem równie ważne i pożyteczne miejsce w rzędzie wynalazków społecznych. Z tego przynajmniej, czego byliśmy świadkami przy powyższej próbie, słusznie wnosić tak można.

W chwili, gdy to piszę, odbywa się istna processya publiczności lwowskiej do Wydziału Krajowego, gdzie na trzy dni wystawiono na widok publiczny akwarelle mające składać album pamiątkowe, przeznaczone na dar dla arcyksięcia Rudolfa, następcy tronu, z powodu odbyć się mających wkrótce zaślubin jego z królową Belgijską. Wszystkie obrazy tego *Albumu*, sprawionego kosztem składkowym a staraniem Wydziału Krajowego, przedstawiają sceny z ostatniej podróży cesarza Franciszka Józefa po Galicyi; a że najznakomitsi nasi malarze, poczynawszy od Kossaka i Matejki, dali tu swe kompozycje, nie dziw przeto, że publiczność w najwyższym stopniu zaciękawiona śpieszy w zawody, aby skorzystać z tej jedynej sposobności oglądania tych arcydzieł, nim deputacja Wydziału, udająca się na obchód zaślubin do Wiednia, zabierze je ze Lwowa i odwiezie na miejsce przeznaczenia.

Trzeci już dzień trwa ów nieprzerwany pochód publiczności na tę wystawę. Dziś deszcz leje; zdawało się, że przygasi i ochłodzi ciekawość publiczności rozgorączkowaną i że będzie można bez nadzwyczajnego przynajmniej natłoku swobodnie oglądać obrazy. Gdzież tam! — zawiedli się ci, co mieli tę nadzieję. Przeciwnie: natłok zwiększył się jeszcze. Ulica Kopernika roi się tłumem ludzi pod parasolami. Chodniki nie wystarczają. Większa część ciekawych śpieszy środkiem ulicy, myśląc, iż zyska na pośpiechu. Przed gmachem Wydziału szereg powozów zajmuje niemal połowę ulicy wzdłuż. Wszystko, co tylko do sfery inteligentniejszych we Lwowie należy, czy chodzi pieszko, czy ekwipażem jeździ, odbywa tę pielgrzymkę artystyczną. W gmachu wydziału tłok do nieprzebycia, nie tylko w samej sali wystawy i w pokojach wstępnych, ale również na wschodach i w przedsionku. Wiele osób, mniej cierpliwego usposobienia, nie mogąc się przecisnąć przez natłok ludzi, po kilkogodzinnem oczekiwaniu zęgną się z nadzieją dojścia do celu i wraca z niczem do domu.

Z tych, co mając się za szczęśliwych, zdołali przecie dotrzeć do głównej sali i wcisnąć się na wystawę, nie wszyscy owiele więcej zyskali. Przystęp do obrazów tak trudny z powodu natłoku, że przypatrzyć się wszystkim dokładnie prawie niepodobna. A przecie chciałbym czytelników „Bluszczu“ oprowadzić po tej galerii prawdziwych klejnotów artystycznych, aby choć przelotnem spojrzeniem zapoznać się z niemi mogli. Szczęściem posiadają korespondenci różdżkę czar-noksiężką, na której skinienie, jak niegdyś na rozkazy Boska lub Pinettego, wszystkie drzwi w każdej otwierają się porze, torują wszystkie drogi. Za jej pomocą możemy już przypatrzyć się wygodnie zbliżka całej wystawie i oprowadzić po niej czytelnika.

Album będzie się składać z dwudziestu akwarelli dużego rozmiaru, umieszczonych w artystycznie rzeźbionej szafce. Obecnie wszakże jest na wystawie tylko ośmnaście obrazów. Matejko i Te-pa dotąd swoich nie ukończyli. Najwięcej, bo aż sześciu, obrazów dostarczył Juliusz Kossak, a śmiało powiemy, zgodnie ze zdaniem znawców i głosem powszechnym, że trzymają one prym między wszystkimi. Mogą ich pozazdrościć ci nawet, co się chlubią Passinim i innymi równego rzędu, europejskiej sławy akwarellistami. Pierwszy obraz Kossaka przedstawia „Wjazd cesarza do Krakowa u bramy Floryańskiej“. Na pierwszym planie pomiędzy grupami tłumnie zgromadzonej publiczności widzimy poprzedzającego orszak cesarski, burmistrza krakowskiego. W powozie odkrytym, przez dzielną czwórkę koni ciągnię-ny, poznajemy siedzącego Zybkiewicza, — krakowiak z konia powozi. Na koźle siedzą hajducy

w barwie miasta Krakowa: niebieskiej z białem. Powóz cesarski widać w dali, zwolna postępujący. Uwaga widza skupia się głównie na pierwszym planie. Wszystko tu uroczyste, wspaniałe. Drugi obraz Kossaka przedstawia *Wesele krakowskie*. Na rynek oświetlony ogniami bengalskimi wjeżdża w całym pędzie dziarskich koni orszak weselny. Na przodzie wóz, w czwórkę krakowską zaprzężony, wiezie pannę młodą z družkami: wokoło na koniach parobcy krakowscy. To życie, ruch, dziarskość weselnej drużyny, ten entuzjazm powszechny, jaki artysta potrafił wlać w tę scenę, nie da się opisać. Zdaje się, jakbyśmy tam byli obecni, porwani tą prawdziwie krakowską dziarskością bijącą z obrazu. Podobnego wrażenia doznaje się też na widok konnego orszaku kilkuset Krakowiaków w białych sukmanach, konwojujących powóz cesarza, gdy przez Błonia nadwiślańskie powraca do miasta, odbywszy przegląd wojska. Przepyszne ugrupowanie i życie bijące z tego obrazu wyższe jest nad wszelki wyraz. Dwie powyższe akwarelle Kossaka są powszechnie za najpiękniejsze pomiędzy wszystkimi uznane. W odmiennym zupełnie rodzaju, ale odznaczającą się również wybornem ugrupowaniem i odportretowaniem osób obecnych, przytem pełną godności i spokoju w całej kompozycji jest scena, przedstawiająca odwiedzin cesarza w pracowni Matejki. Artysta tłumaczy cesarzowi treść jednego ze swych obrazów; obok w czarnej sukni widzimy panią Matejkową jako gospodynię domu. Patrząc na tę grupę dostojnych gości, czytamy w ich obliczu i postawie hołd pełen czci oddany geniuszowi sztuki. Na czwartym obrazie przedstawił Kossak przyjazd cesarza do Krysowic, gdzie podczas ćwiczeń wojskowych pod Przemyślem, przez cały tydzień miał główną kwatery. Przed gankiem pałacowym w parku, gromady ludu wiejskiego zebrały się dla obaczenia przybyłego monarchy. Jestto obraz typowy — artysta scharakteryzował w nim ludność tutejszych okolic, zupełnie odmienną od ludności „mazurskiej“. Obok wysokich zalet artystycznych w układzie całej kompozycji, szerokiej perspektywie i t. p., posiada obraz ten cechę etnograficzną, artystycznie wyzyskaną. Najmniej powabnego przedmiotu dla artystycznego pędzla nastroczał bal miejski, dany w ratuszu we Lwowie. Widok wspaniałe przybranej sali i strojów balowych: są to rzeczy zanadto konwencyjonalne, nieposiadające w sobie wcale strony idealnej, jakiegokolwiek interesu dramatycznego, jakiegokolwiek wyższej myśli, będącej z natury rzeczy duszą każdej kompozycji artystycznej. Pomimo usiłowań malarza, aby wlać w obraz tę duszę i życie, których w samej jego niema treści, wykonanie nie zastąpi tego braku! W scenie balowej Kossaka jest świetność kolorytu i rozmaitość w ugrupowaniu, jest wszystko to, czem świetnieje technika malarska; ale pomimo talentu i fantazyi, scena balowa, poruszająca się, że tak powiem, miarowym taktem etykiety dworskiej, nie może sprawić tego wrażenia, co krakowskie wesele, lub jeźdźców orszaki w swobodnym konia poskoku, cwałem przelatujące błonia krakowskie.

(Dokończenie nastąpi).

DROBNE LISTKI.

Krumiowie, lud niepodległy, zamieszkujący wzgórzyste i lesiste wybrzeże morza Śródziemnego od Cap-Roux, do Cap-Negro na wschód granicy Tunetańskiej, stał się obecnie głośnym jako bezpośrednia przyczyna zatargów między Francją i Tunisem. Składa go dziewiętnaście pokoleń, niezawisłych od siebie i związanych jedynie węzłem narodowego braterstwa, oraz pewnego rodzaju zaczepno-odpornej federacji. Mówią językiem berberyjskim ze znaczną przymieszką wyrazów arabskich i zdają się pochodzić od starożytnych Berberów, pierwotnych mieszkańców północnej Afryki i wysp znajdujących się przy zachodnim wybrzeżu morza Śródziemnego. Liczne wędrowniki i podboje Fenicyan, Rzymian, Wandalów, Ara-

bów i Turków, zapędziły te ludy w głąb' pustyni lub krain wzgórzystych, gdzie w niewielkiej tylko liczbie zdołali się od zmieszania z przybylcami uchronić. Krumirowie nazywają się potomkami wielkiego marabuta Sidi-Abdallah-ben-Dzema; według francuskiej *Revue de geographie* ludność ich nie przechodzi 6,000 głów, przecież obecnie sprawozdawcy do dzienników angielskich podają ich na 70,000, między którymi ma być 20,000 do broni zdalnych i oręż noszących mężów. Kraina Krumirów, wzgórzysta i lesista, rozległa jest na 60 mil kwadratowych, granit stanowi formację gór, obfitujących w kruszec; kopalnie żelaza, miedzi, srebra są liczne i, jak można wnosić, szczególnie po rudzie srebra, którą obficie rozsyłają na rynki miast algierskich i tunetańskich, bardzo bogate. Kopią kruszec w sposób bardzo pierwotny; nie dopuszczając przecież do kraju żadnego cudzoziemca, nie mogą nabyć wyższego wykształcenia tak w górnictwie, jak w żadnej innej gałęzi wiedzy ludzkiej. Dziko, namiętnie pilnują nienaruszalności ziemi swojej, i stopa obcego, postawiona na ich gruncie, obudza w nich wzruszenie gorące a niebezpieczne dla tego, który stał się jego przyczyną. Rzadko też kto waży się na to i wymieniają z Europejczyków tylko dwa nazwiska takich śmiałków: jednym był Józef Fanelli, były naczelnik biura arabskiego w La Calle, drugim inżynier beja Tunisu, Francuz także Caillet. Ale obu nie udało się dostać w głąb' kraju i musieli poprzestać na wiadomościach otrzymanych od niektórych, przychylniej usposobionych krajowców. Ci im opowiadali o pewnym podróżniku europejskim, który wkradł się tajemniczo i samotnie między wąwozy gór wewnętrznych, gdzie jednak odkryto go, zbierającego kamienie i próbki minerałów, ale przytrzymany, obrany z tych zbiorów swoich, został po przetrząśnięciu kieszeni odstawiony do granicy, co powinien był jeszcze uważać za bardzo szczęśliwy koniec swej wyprawy. Drugi jakiś rysował góry i usiłował zdjąć plan wybitniejszych miejscowości, aż naraz błysnęła mu wymierzona doń lufa karabinka i otoczyła go gromada uniesionych gniewem górali. Puszczono go też wolno, ale zabrano wszystkie instrumenty, rysunki i do najmniejszego kawałka papieru, aby przypadkiem nota jakas nie znajdowała się przy nim.

Cały kraj jest wogóle lesisty, ale najpiękniejsze, wspaniałe lasy białych i korkowych dębów oraz innych drzew liściastych, rozciągają się ścianami zieleni wzdłuż wybrzeży morskich i od granic Algierii. Krajowcy niszczą je przecież z nieopatrznością ludów dzikich, którym dary i skarby przyrody zdają się niewyczerpanymi. Szczególniej odzieranie z kory pni, naprzykład dębów korkowych, dokonywane bez należytej troskliwości, w złej porze, z drzew zbyt młodych, sprawia, że schnie ich mnóstwo. Nawet nie ścinają ich potem ale podkładają ogień i wypalają na węgiel do hut, co często sprowadza pożary lasów, wśród których ludność miejscowa ogniem również toruje sobie drogi potrzebne.

Francuzi uważają Krumirów za Arabów, „une des agglomerations arabes“, jak wyrażają się ich geografowie. Możliwe badania przez sąsiednią Algierię dały im poznać coś z ich wewnętrznej organizacji i uspołecznienia, które się różni wedle pochodzenia od dwóch głównych szczepów: Slul i Tedmaka. Slul oddają się handlowi i wydobywaniu, przetapianiu kruszczów; ztąd bogatsi są, więcej osiedli i wyżej cywilizowani. Tedmaka są bardzo ubodzy, wiodą życie pasterskie i razem wojownicze, to jest rozbójniczo-lupieżkie, na lądzie i morzu. Miast Krumirowie nie mają wcale, ani nawet wsi właściwych, i są mniej więcej ludem koczowniczym. Bej tunetański jest dla nich przedmiotem czci, najpierw dlatego, że stanowi siłę, potwóre, że jako przedstawiciel Porty, jest dla nich namiestnikiem najwyższej władzy duchownej,

a Krumirowie są bardzo religijni. Naturalne ich usposobienie jest poetyczne i rycerskie; nie posiadają historii pisanej, ale śpiewają ją lub opowiadają sobie przy ogniskach wieczornych z wielkim zapalem patryotycznym. Uczucie swobody, niepodległości i dumy, jest w nich rozwinięte w stopniu najwyższym, i to potęguje ich nienawiść do cudzoziemców, których się boją, widząc w nich najeźdźców. Wiedzą, a raczej przeczuwają, czym jest mimo chrześcijaństwa i cywilizacji ta kolonizacja europejska, gdy gospodarować zacznie na gruncie, którego dziedziców przyrodzonych uważa mało co wyżej nad zwierzęta — nad zwierzęta, które przeszkadzają przemysłowcom, kupcom, handlarzom, a których czyż broni i obronić może misyonarz z krzyżem w rękę?

Tropiciel ludzi, to jest tropiciel nieszczęśliwych Indian, na których łowy na szeroką skalę odbywają się w Stanach Zjednoczonych, William Johnstone, znany pospolicie pod nazwą: Buckshot Bill, staje się obecnie sławnym między Yankees przez ślub uczyniony i dokonywany przezeń właśnie. Rząd Stanów Zjednoczonych ma na swoim żołdzie korpus tropicieli, mogący nosić tytuł zbójckiej sfory gończej, gdyż jego przeznaczeniem jest tropić i trapić, wytracać krajowców, w których ziemi, zwane terytoriami indyjskimi, wciśnięta się coraz głębiej, już do uchron ostatnich, kolonizacja amerykańska. Krwawej pamięci Ki Carson był wynalazcą i pierwszym wodzem tego hufca rozbójniczego, do którego wstąpił pod jego rozkazy Buckshot Bill w 1858 roku jako osiemnastoletni chłopiec. Dziś on jest dowódcą; mówi płynnie dwudziestoma dyalektami indyjskimi, których się nauczył, przebywając podstępnie między tym ludem łatwowiernym i dobrym, łagodnym z natury. Raz przecież, pojmany w walce przez pokolenie Komanszów, uratował życie jedynie podstępem i ucieczką, z mordercą połączoną, i widział poprzednio jedenastu swych towarzyszy upieczonych żywcem. Amerykanie pięką przecież przez wiele już wieków nieszczęsne te narody na ogniu owiele okrutniejszym i krąży też teraz między zdobywcami i podbitymi jadłowita czara zemsty, wzajem sobie oddawana. I tak Buckshot Bill słyszał Indianina, który, urągając mu dziko, pokazywał dyamentową spinkę jego rodzonnego brata, zdobytą na trupie okrutnie zamordowanego, i wymieniał dziesięciu innych, którzy wspólnie z nim śmierć tę zadawali. Bill wysłuchał spokojnie, ale przysiągł, że nie spocznie, póki nie oskalpuje, to jest nie zedrze skóry z głowy owych ludzi, w krwi brata jego skąpanych i już miał dokonać swego ślubu na siedmiu. Czy mu dadzą Indianie dokończyć? Pytanie to zacieka wia obecnie Yankees, a jako ilustracją tej sprawy należy dodać, że Buckshot oskalpował już własnoręcznie 117 Indian i trofea swoje: skórę zdartą z czaszek z włosami, złożył w Washingtonie w muzeum narodowym: *Smithsonian Institut*.

Proroctwo obwieszczające przyszłość na lat siedm, włącznie z bieżącym już naszym 1881 r., ogłoszone zostało w Albanii, gdzie sprawia między ludem silne wrażenie. Wylewy wód i trzęsienia ziemi, którym ulegamy od roku, są już początkiem wielkiego końca; znalezienie się w roku zeszłym razem w punktach najbliższych słońca czterech wielkich planet: Jowisza, Saturna, Neptuna i Urana, jest zapowiedzią i przyczyną wielkich przewrotów dla ziemi. Od 1881 do 1885 roku będą panować zrazy, które ziemię częściami wcale wyludnią, częściami ludność jej przerzedzą; przyczem wojny domowe i wielkie walki między wszystkimi narodami będą świat trapić obok nieustających trzęsień ziemi i potopów, rozmaitych zaburzeń atmosferycznych, co wszystko razem sprawi, że wody i powietrze staną się zabrutem i użycie mięsa i ryb będzie śmiertelnie zubożeniem. Wtedy nastąpią niezmiernie, dwa lata trwające wybuchy wulkanów; zięjący z głębi ziemi ogień oczyszcza

ją będzie z zaraźliwych miazmatów, aż nakoniec przeciągnie potężny prąd elektryczny i odmłodzi ziemię, która czarownie wzmożoną roślinnością zakwitnie, urodzajność pól i błoni stanie się tak wielką, jak w początkach świata, a młodość i następnie życie ludzkie będzie dwa razy tak długie jak obecnie.

Hr. Leopoldina de Racagni, wdowa po austriackim generale kawalerii, z domu hrabianka Firmian, zmarła dnia 22 Stycznia bieżącego roku w domu Sióstr Miłosierdzia w Salzburgu, zostawiła testament godny uwagi. Ród hrabiów Firmian należał w historycznej przeszłości do tego stronnictwa religijnej nietolerancji, która tak długo zakłócała Europę, nieznana tylko u nas, póki naród był zdrow politycznie i moralnie. Ostatniem na wielką skalę prześladowaniem protestantów było w XVIII wieku gromadne ich wygnanie z Salzburga i Tyrolu. Dwadzieścia tysięcy wygnanców salzburskich opuścić musiało ojczyznę, szukając schronienia w Prusach, a głównym sprawcą i wykonawcą okrutnego czynu był stryjeczny pradziad hr. Racagni, arcybiskup salzburski Firmian, chcący nawracać dusze, wszczepiać przekonania siłą i uciskiem. Otóż ta, która była złączona krwią ze srogim człowiekiem i której majątek miał w sobie część jego spadku, umierając bezdzietnie, zapisała całe swe mienie, zawierające się w papierach włoskich, na Zakład przytułku sierot protestanckich, przyczem szczególnie mają być uwzględnione dzieci z rodzin wygnanców salzburskich. Kobieta ta była silnej wiary i przekonana katolickich, niemniej testament jej, tak wyłuszcza pobudki, kierujące ostatnią jej wolą: — „Może to zdejmię z mego rodu coś z grzechu, jakim obciąża go fanatyczne okrucieństwo, niektórych jego członków, popełnione w wieku zeszłym“.

Wystawa starożytnego zamku z okolic Haut Quercy w Paryżu zdaje się być jakąś sztuczką białej magii, jakąś fantasmagorią, lub przedstawieniem scenicznem, a jednak jest to rzeczywistość. Wspaniałe piękny gmach z czasów Odrodzenia, zamek Montal, wymagający ciągle wielkich kosztów na utrzymanie, a zarazem ogromnej summy na konieczne reparacje, któreby go ocaliły od ruiny, został przez właściciela przy pomocy budowniczego rozebrany na części, umieszczony w olbrzymie paki i tak przewieziony do Paryża. Obok najdokładniejszego planu całości, każdy kamień oznaczono numerem, rzeźby wspaniałej fasady, kapy kominów, powały sufitów, wszystko zostało bez uszkodzenia w ten sposób dostawione na rynek paryżki, który przedstawia ogromną pracownia malarza Roll, gdzie te starożytne piękności wystawione są na widok publiczny. Rzecz kosztowała 70,000 tysięcy franków, ale prócz zysków z wystawy, właściciel żąda i spodziewa się dostać od jakiego magnata starej lub nowej daty 200,000 za rozebrany na kawałki dom — przypuścić trzeba, że nie rodzinny.

Świadectwo ubóstwa zostało wydane młodej poezji francuskiej na drugi właśnie dzień po owacych urządzonych na cześć Wiktora Hugo; był to bowiem termin sądu i wyroku na konkursową pochwałę wierszem Lamartine'a, i aeropag Akademii Francuskiej nie mógł przyznać nawet wzmianki zaszczytnej nikomu z młodych poetów, występujących w szranki. Zastęp ich był przeciw zwyczajowi bardzo nieliczny, a płody przedstawione tak liche, że żaden do końca doczytanym nie został.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się półarkusz 13-ty powieści pod tytułem: *Służąca posesora*; oraz półarkusz 20-ty powieści pod tytułem: *Wódz-Duch*.

TRĘŚĆ. Z życia, przez M. Ilnicką. — Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Wiedeń). — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Przedhistoryczny początek emancypacji kobiet, przez M. I. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dalszy ciąg). — Drobne listki.

SŁUŻĄCA POSESORA

POWIEŚĆ

E. MARLITT

przełożył z niemieckiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— I ja również proszę panią o to i to nawet bardzo, bardzo stanowczo proszę — rzekł młody dziedzic już teraz z surową powagą.

Griblowa mimowoli ruszyła ramionami. — Nie ma tu żadnej jasnie wielmożnej pani przy której by trzeba było trzymać usta zasznurowane — rzekła. — Gasiątko to — wskazała córkę — nie by nie zrozumiało, a pan przecież jesteście mężczyzną. — Ale dla czego tak uciekasz moja piękna? zawołała nagle zwracając się do służącej posesora, która zmierzając z wolna ku drzwiom altany, i jak niegdyś przy tartaku zatrzymała ją, uchwyciwszy mocno za fartuch. — To, co mówię jest może wartem abys posłuchała. Cóż! czy nie prawda?

Ale dziewczyna nie przyznawała snadź tej wartości słowom pani komissarzowej; odwracając się twarzą do drzwi, ujęła żywo białą chustkę, którą wchodząc tu odrzuciła na ramiona i zaczęła ją sobie wiązać pod brodą. Ale tak była wzruszona że jej się ręce trzęsły i płacząc pospiesznie końce w węzeł, zawiązała wraz z niemi czarną aksamitkę, na którą Henryk spoglądał tak ciekawie. Chcąc to rozsupłać, rozwiązała naraz wstążeczkę, i coś ciężkiego padło na ziemię z brzękiem.

On się schylił, aby podnieść, lecz w tej chwili Ludwisia wydała żywy krzyk, gdyż u aksamitki wisiał złoty dukat — jej starożytny dukat...

Służąca dzierżawcy wyciągnęła tymczasem rękę do Henryka. — Proszę — rzekła krótko. Była jeszcze bardzo wzruszona i chciała odejść co prędzej.

— Za pozwoleniem — zawołała Griblowa — to jest dukat Ludwisi...

— Tak... szepnęła dziewczynka z pomieszaniem.

— Zgubiła go i znalazłaś może — ciągnęła dalej Griblowa. Nie posądzam o nic gorszego, nie... nie posądzam.

Ta, do której to mówiono, zbladła śmiertelnie. — Przywłaszczyc sobie rzecz znalezione, jest to samo co ukraść — odparła.

— I ja też nie znalazłam tego dukata — dodała stanowczo. — Jest to moja własność, którą posiadam już od lat kilku...

— Ty, ty, miałaś, mogłaś mieć od lat kilku takiego dukata? poczęła Griblowa teraz już z pasją namietną. — Dukaty i łachmany... Mybyśmy tego nie kupili Ludwisi i jak pan wie, dała jej go nieboszczka nadleśniczowa.

— I mój także pochodzi od zmarłej p. nadleśniczowej, jest to starożytny pieniądz sycylijski z dwunastego wieku. Niech się pan przekona, że tak jest....

— Tak — odparł Henryk — jest w koło i napis: — Sit tibi, Christe, datus...

— Quem tu regis iste dukatus... dokończyła dziewczyna i wyciągnęła rękę po dukat, który też Henryk jej oddał, a ona zawiązała aksamitkę na szyi, czego Griblowa nie mogła znieść spokojnie. — Co! oddałeś pan dukata, dla tego, że coś

odpowiedziała po francuzku... zawołała surowo na Henryka.

On poprawił: — Po łacinie...

— To mi wszystko jedno... Jestem uczciwa Niemka i nie umiem żadnego parle, parle, ale od tego nie ustąpię, że to dukat nasz, Ludwisi...

— Mam! zawołała dziewczynka bliska płaczu — pani nadleśniczowa mogła mieć i dać drugi dukat.

— Nie, takich dukatów korcami się nie mierzy.

— A przecież moja zmarła ciotka miała ich więcej niż jeden — przerwał Henryk. — Znajduje się między jej klejnotami złoty łańcuszek u którego jest jeszcze siedem takich dukatów, tworzących naszyjnik. Jest nawet widoczny ślad, że odczepiono od nich dwa.

— Ale tej dziewczyny nie było tu za życia nieboszczki nadleśniczowej! zawołała Griblowa. Czy go jej zatem przysłała z nieba dla tego, aby taka oto łachmaniarka stroiła się w złoto.

— Och! mammo.

— Moja ciotka mogła go dać swej starej przyjaciółce, lub p. Agnieszce Franz — wtracił Henryk.

— Tak, mogła go im dać, ale jak dostał się do niej? wykrzyknęła Griblowa, wskazując palcem piękną, jak marmur bladą postać. Takich prezentów nie daje się dziewczkom.

Henryk uczuł się niewymownie dotkniętym, przecież argument Griblowej wywarł na niego wrażenie. Przypomnił sobie biedę, niemal nędzę na folwarku.

— Niech powie, która z dwóch pań dała jej dukat? — krzyczała tymczasem Griblowa.

Henryk mimowoli obrócił wzrok na oskarżoną, która zapłonęła też żywym rumieńcem, ale nie odpowiedziała nic, a raczej odpowiedziała ale tylko oczyma i Henrykowi jedynie. — I ty śmiesz mnie pytać, śmiesz indagować... powiedziały te oczy z oburzeniem. Niewypowiedziana дума, niewypowiedziana wyniosłość zaświeciła w nich.

Z tym wyrazem w całej postawie przeszła pokój i nie patrząc na nikogo, wyszła.

— Widzicie ją jaka mi pani! krzyknęła Griblowa. — Sam szatan z piekła pyszniejszy nie jest....

Zanim oskarżona próg przestąpiła była chwila, że Henryk zabiegł jej odepchnięcia i chciał jakgdyby zatrzymać, wyciągnął rękę jak żeby po uścisk pożegnalny, ale ona już nie patrzyła na niego i oczy się nie spotkały. Tak samo stało się i z Ludwisią, która płakała rzewnie. — Ach mój Boże! wołała — mój Boże... ja wiem, że to nie mój dukat!

Choć jej współczucie zostało odrzucone, wybiegła jednak za odchodzącą. — Ja wiem że to dukat panny — wołała, bo służąca z folwarku nie zatrzymała się ani na chwilę i zeszła już ze schodów. — Niech panna daruje mamie, niech panna nie ma gniewu na nas...

— Daj pokój panno Ludwiko — ozwał się po za nią głos Henryk brzmiały żywym rozżaleniem i podniesiony tak, aby został usłyszany przez odchodzącą. — Nie każdy rozumie taką, jak twoja dobroć, nie każdy rozumie delikatność. Ja na przykład, sądziłem, że obrona sama już byłaby obrazą, lecz dostałem za to tylko surowy wyrzut...

— Ludwisiu! krzyknęła naraz Griblowa — chodź mi tu zaraz i nie wyrabiaj scen... Cóż to... może jej padnieś do nóg za to, że nie chciała się oczyścić, jak każda uczciwa dziewczyna zrobiła by od razu...

— To jakaś awanturnica — dodała już do Henryka, bo czy kto widział jak żyje, taką dziewczkę! Po łacinie umie, umie bandażować rany i jest w niej całej coś... coś... Dalibóg, że to pewno taka cyganka o jakiej pisano nie dawno w gazetach, a może to ta sama nawet. Pisali, że biała i piękna, że się przebiera rozmaicie i szczególnie męczyzn łowi...

Griblowa rzuciła ironiczne troche spojrzenie

na dziedzica i rozstawiając na stoliku szklanki, dodała. — Właśnie ta przybyła, kiedy o tamtej pisali, a choć ją panna Franz zna, to cóż? I ją mogła oszukać... Może jej było trzeba zejść z oczu ludzkich i dla tego zgodziła się na wieś wyjechać, może nawet sama to skomponowała, niby z miłości dla p. Agnieszki, bo czyby to kto mógł namawiać taką jejmościankę do folwarcznej roboty?... Nawet guwernantka żadna tak bez zdrowych zmysłów nie jest...

Henryk marszczył brwi i niecierpliwie przewracał między książkami w czasie tych uwag Griblowej, a jednak słowa jej zabiły mu ćwieka w głowę. Cyganka, czy nie, nie była to jednak prosta sługa i nawet odrzucając na bok domysły Griblowej, nie można było bez podejrzenia myśleć o takim szczególnym poświęceniu dla ludzi, z którymi nie wiązał tej dziewczyny żaden węzeł inny prócz nie długiego pobytu w domu generała von Guseck z p. Agnieszka Franz... To, co przypuszczała Griblowa, mogło jedynie tłumaczyć niepojęte do tej pory dla Henryka oddanie całej swej istoty dla byłej guwernantki.

Gdy przypuszczał u tajemniczej dziewczyny potrzebę ukrywania się, serce miał ściśnięte, niemniej nie mógł już pozbyć się jadu podejrzenia, który gadatliwa kobieta zapuściła w głębi jego umysłu. Śledzić za krokami służącej dzierżawcy stało się dlań dziką koniecznością i nad wieczorem znalazł się znowu w lesie, lecz nie wśród zarośli pod bukiem, ale posunął się tak daleko, że podkraść się pod dom. Ze zaś spuszczone rolety nie dostawały zupełnie do framug okna, odważył się przycisnąć czoło do szyby i patrzeć — szpiegować.

Wśród lasu panowała tak wielka cisza, że słysząc było w pokoju narażnym jakiś głos męzki, jakgdyby czytający lub odpowiadający coś. Ustawiał chwilami, aby jęknąć, wydać skargę i mówił dalej.

Do kogo? Henryk zrazu lękliwy, teraz już zaczął pozycę wygodniejszą i ujrzał, czego się obawiał jak najmocniej — dziewczynę z folwarku.

Światło lampy, przycienione zielonym daszkiem, nie mogło rozjaśnić dostatecznie obszernego pokoju i w tym półcieniu ujrzał ją siedzącą. Była blada, smutna, głowę miała spuszczoną, lewą rękę wyciągniętą gdzieś na bok i niestety! ręką ta zdawała się Henrykowi spoczywać w drugiej ręce — w dłoni mężczyzny.

Nie mógł widzieć nie po za wązki pasek przestrzni, jaki szpara między oknem a roletą pokazywać mu chciała, przecież parę razy zdawało mu się że dojrzał tę rękę męzką. Głos słyszał wyraźnie, nie wątpił więc, że się nie mylił, że to nie było przypuszczenie.

Naraz ujrzał, że oczy dziewczyny zalewają się łzami. Było to w chwili, gdy głos ustał, dłoń trzymająca jej rękę puściła ją, opadła bezwładnie, a łzy płynęły w milczeniu nie wstrzymywane.

W tem dziewczyna się wyprostowała, otarła żywo oczy i poczęła nadśledzać z uwagą.

Oddalony, ale niemniej wyraźny tentent konia dawał się słyszeć z głębi lasu, usłyszała go znać tak jak i Henryk, którego też zmusiło to, żywo się cofnąć w tył, ując w zarośla pod buki.

Zaledwie zdołał to uczynić, drzwi domu otworzyły się i gajowy wyszedł na ganek. Stał tam i czekał na jeźdźca, spodziewanego widać.

Pies, który wybiegł za panem swoim, poczęł warczyć i szczekać, ale gajowy nakazał mu milczenie. Czynił to, ile mógł cicho. Nachylił się do psa, wołając nań: leż...

Pies mógł zdradzić przytomność Henryka, on przecież zapomniał o tem i dzięki Bogu, że gajowy chciał, aby było cicho.

Jeździec na rośłym koniu i jak widać było silny, wysoki mężczyzna, ukazał się wkrótce, a i on miał widać to samo życzenie, bo zajeżdżając przed dom, nie powitał bynajmniej gajowego, który przystąpił, aby odebrać od niego konia. Ski-

nał mu tylko głowę, potem przemówił coś zeicha wskazując ręką na dom, do którego wszedł też niebawem.

Gajowy wodził konia po podwórzu, lecz teraz pies, zwolniony, jak mu się zdawało z nakazu, skoczył w stronę kryjówki Henryka i zaczął ujadac tak mocno, że było niepodobiestwem pozostać dłużej na czatach i biedny p. dzieziec musiał ukazać się jak nie pyszny. Udując jednak spokój spacerującego letnim wieczorem człowieka, przeszedł śmiało koło gajowego, zwracając się w kierunku Hirschwinkla.

Kto był ten jeździec, gość nocny, który widocznie nie przybywał do gajowego, lecz do tej, która go tu czekała wśród nocy? Niewątpliwie o nią pytał, gdy przed wejściem wskazywał ręką na dom. Może byłby się zawrócił w razie nie zastania jej...

— Czy to był wódz bandy cygańskiej? Henryk uczynił sobie to pytanie ze słabym uśmiechem ironii, ale poważnie sięgnął brwi, myśląc że jednak był to ktoś, który przybywał do tej dziewczyny w nocy, i na którego czekała po za domem swoim — w lesie. Musiała też w skutek tego, tak być uległa dla młodego leśnika, jak okazującą miłość dla p. guwernantki.

Są płataniny krepujących węzłów, które zaciśkają się coraz ciśnień koło tego, kto raz powrózowi skrytych stosunków dał się zadzierzgnąć na swej szyi. Myśląc o tem, Henryk powrócił bardzo nie dugo na polankę leśniczówki, ale nie było już konia, ani nikogo na podwórzu i pies zamknięty w domu nie zaszczekał. Światło lampy jeszcze jaśniało w oknie, roleta była nawet nieco uniesiona, ale fotel, który dziewczyna z folwarku zajmowała nie dawno, stał pusty i najgłębsza cisza panowała wokoło. Tylko gospodarz domu siedział przy stole, spokojny i jakgdyby rad z tego, że nareszcie zostawiono go w spokoju, czytał.

Henryk dostał niemal gorączki; człowiek praktyczny, jak zwykle sam o sobie się wyrażał, teraz zapadał w romantyczne marzenia. Kto była ta dziewczyna? Roik, czynił najdziwniejsze przypuszczenia, ale nie doszedł nigdy do tego, aby dotknąć piękną istotę myślą o zbrodni, o oszukaństwie w celach podłych — posadzeniem o nikczemność. Ale niemniej coś kryła, podawała się za to, czem być nie mogła... Henryk powiedział sobie, że jutro stanowczo zajrzy w oblicze Slinksa — w oczy dziewczę, a te oczy, które rano tak go chciały ukorzyć dumą, a wieczorem płakały tak rzewnie, tak boleśnie. Choć odeszła najmocniej obrażona, jednak jeszcze w chwili, gdy ją chciał przy wyjściu zatrzymać, powtórzyła mu poważnie uczynione przyrzeczenie: — Jutro opatrzę rękę, proszę nie ruszać bandażu... więc był pewny że przyjdzie.

Ale pewność ta zawiodła go. Choć nazajutrz upał był ogromny on siedział, nie ruszając się z miejsca, w altanie; drzwi stały szeroko otwarte, gospodarz ułożył sobie zawczasu cały program obejścia się z tą, na którą czekał, ale godzina upływała za godziną, a jej nie było. Wreszcie na jasnym dotąd niebie zaczęły się ukazywać i gromnie gromadzić chmury. Zapowiedź burzy unosiła się w powietrzu, jeżeli za tem wybuchnie, już nie ujrzy dziś dziewczyny z folwarku...

Lecz jeżeli wyszła właśnie z domu, jak można się było spodziewać i burza ją spotka na drodze, w lesie? Przy upałach, jakie panowały, burze bywają straszne, towarzyszą im pioruny, wichry, ulewę niebezpieczne...

Henryk żywo schwycił kapelusz, zamknął drzwi altany na klucz i puścił się w stronę folwarku. U skraju lasu uderzyło mu silnie serce, bo między drzewami zamigotało coś jasnego, ale to była tylko Ludwisia z matką, która aż wykrzyknęła z radości, ujrawszy dzieziec. — Ach panie kochany! zawołała, przysięgam, że robię to tylko dla pana!... Choć jestem dobrą chrześcijanką i starych ludzi mi żal, bo nie mają już sił do pracy, ale niemniej tylko dla pana mogłam to uczynić, aby w taki czas dźwigać koszyk...

— Szanowna pani, nie nie rozumiem.

— Ale zaraz pan zrozumiesz. Nowa sługa po-

sesorów pośpieszyła się nad spodziewanie, jak każda niecziwa dziewczyna, która nie jest próżniakiem i nie boi się służby. Ale musiałam ją sama zaprowadzić do nowego państwa, że zaś nagałali już dziewczynie o głodzie i biedzie na folwarku, więc też, aby się nie wylekła i nie uciekła, zobaczywszy pustki w szafach wzięłam w koszyk parę kielbas, pasek słoniny, kilka słoików konfitur i kazałam Ludwisi pójść ze sobą. Gdy ja z nową dziewczką pójde do p. posesorowej, to moje dziewczętko odda to dawnej służce, aby wstawiła do spiżarni — myślałam, ale cóż pan na to, że tam jej już nie ma?

— Kogo niema? zawołał Henryk ze wzruszeniem tak wielkiem, że było widocznem.

— Pańskiej lekarki — odparła Griebłowa przyszykując z lekka usta. Stary jegomość powiedział mi, że poszła sobie z Panem Bogiem, bo on nie myśli paść dwóch sług. Blagier, wygadywał niestworzone rzeczy, że był całe życie przyzwyczajony do dziesięciu, a teraz nie chciał dać tej drugiej jednego obiadu darmo. Nowa dziewczyna jeszcze się bardziej przelekła i gotowa uciec...

Henryk stał jak gromem rażony. — Poszła z Panem Bogiem... powtarzał sobie — nie ma jej!

— Bieda też tam taka, żeby siekiera nie uciała. Ludwisia wstawiając do kuchennej szafy to, com przyniosła, aż się rozżaliła. Bochenek chleba i jakiś serek. Tylko to jedno, że pomyte i czyściutkie było wszystko, ale zresztą nic — jak po obłożeniu...

— Muszę im tam dać jeszcze z parę kwart maki i krup trochę — dodała ze wspaniałomyślnością — inaczej pomarli by chyba z głodu.

— A nie wyobrazisz pan sobie, jak ci chudeńsze są pyszni, jak zadzierają nosa? Doprawdy, człowiek powinien bo się brać za boki od śmiechu, gdyby to nie poruszało żółci, choćby ktoś był gołębiej natury... Wystaw pan sobie, że spotkałyśmy się z p. Agnieszka wchodząc; ona właśnie wychodziła z domu w jakiejś ładnej sukni, w kapelusiku z woalką, jakgdyby miała siadać do powozu. W rękę parasolka jak u księżniczki i jak księżniczka przeszło koło nas, nawet nie powiedziawszy: dzień dobry... Otarła się prawie o moją Ludwisę, jak o pierwszą lepszą.

— Ach mam, przeszła tylko, ukłoniwszy się grzecznie.

— Tak... wielka łaska że ci skinęła głową...

— To głupie stworzenie zachwyliło się miną jaśnie panny — kończyła Griebłowa. Powtarza wciąż: — Ach! mam! jaka śliczna... a nie widziała jej nawet koniuszka brody, bo bojąc się piegow tak zakweliła się gazą, jak tamta jej ekspozycyjka owijała się w perkal. A teraz ją wypędzili w okamgnieniu.

— Żegnam panią — zawołał naraz Henryk, który stał dotąd jak człowiek odurzony. Nie pytając się już, co pomyśli Griebłowa, ruszył szybko drogą wiodącą na folwark. Gdyby nie reszta panowania nad sobą, byłby biegł pędem i nie czuł gorąca, i za moment też znalazł się tam w sieni i spotkał z posesorem, który na progu kuchni, gdzie nowa sługa stała posępna i zadumana, rozwałdził żale nad spustoszeniem w domu. — Ach panie drogi — zawołał spostrzegłszy Henryka — co to za okropna rzecz, kiedy sama gospodyni nie może zająć się domem! Toż u mnie cztery kąty i piec piąty. Wyjąwszy pięknych wędlin, i konfitur, bo z tych ostatnich, to już gospodarstwo nasze słynęło zawsze, nie ma zresztą do czego się wzięść...

— Powiadam panu że rozkradziono, rozmarnowano... gdzieś podziano...

— Może by służąca... dawna służąca mogła dać panu objaśnienia? wtrącił Henryk nieśmiało i zaczerwienił się przytem, jak dziewczyna.

I stary podobnie oblał się najgorętszym, jak krew rumieńcem. Spojrzał na Henryka tak przeżartym wzrokiem, jak gdyby ten wspominał o smoku, ale bardzo prędko wróciła mu zimna krew. — O tamta, panie kochany, już sobie poszła. Zapłaciłem za usługi i fora ze dwora... to mój zwyczaj przy zmianie sług. Inaczej jedna psuje drugą. Ale proszę pana do pokoju...

— Pragnął bym się dowiedzieć pierwszej, gdzie się podział tamta dziewczyna?

— A panie drogi! kto by się tam troszczył o odprawione usługi! zawołał p. posesor z dumą. Ale krew mu biła go głowy i był widoczny nie pokój. — Proszę pana do mojej żony, bardzo się ucieszy, bo to życie samotne, jakie prowadzimy, wbrew nawykniom dawnym jest dla niej smutnem — dodał.

— Jeszcze słówko szanowny panie, tę dziewczynę przywiozła ze sobą z miasta synowica pańska, zatem...

— Zatem zapłaciłem jej sownie i dostała nie mało prezentów... Sługa odprawiona nie istnieje dla mnie...

— Czy nie istnieje również i dla panny Agnieszki Franz, do której była tak przywiązana, której okazywała taką wierność i poświęcenie? zapytał Henryk gorąco.

— Moja synowica jest osobą zbyt dobrze wychowaną, aby wchodzić mogła w jakieś szczególne stosunki ze służącą.. odparł p. posesor z taką wyniosłą miną, że Henryk naraz umilkł. Zdawało mu się to przymówką do niego i jego szczególnego stosunku — do służącej...

— Proszę pana do pokoju — powtórzył stary. Chciałbym z panem porozmawiać o rzeczach rzeczywistych ważnych. Co do urządzenia saloniku w przebudowanym dworku warto by jeszcze się zastanowić. Gdyby drzwi do werendy ogrodowej rozszerzyć i oszklify to wszystko...

— Szanowny panie, nie mam w tej chwili czasu...

— Już to co do kosztów, to będą panu święcie zwrócone. Mój syn przybędzie wkrótce i wtedy policzymy się. O!... jak wyczekuję tej chwili! Czem jest bliższą, tem jestem niecierpliwym, jakkolwiek nie próżnym i mój milionowy chłopiec znajdzie nie jedno już ułatwienie. Wyszperałem tu w okolicy prześliczną parę koni do powozu i muszę nawet wejść w targ o nie. Ale panu nie nad to nie powiem, gotówbyś świsnąć mi je z przed nosa...

— Żegnam szanownego pana...

— Ale cóż znowu! gdzież tak prędko?

Henryk już był w ganku i stary ledwo mógł za nim zawołać. — Pewno spotkasz pan moją synowicę — liliowa suknia i popielaty kapelusz, z gazową woalką... Przedstaw jej się bez ceremonii, po sąsiedzku i powiedz, aby wracała niedługo. Ach! ta mania kwiatów...

Henryk nie odpowiedział ani słowa. O! gdyby spotkał tę synowicę, tę guwernantkę, która nie nauczyła się sama mieć choć trochę uczucia obowiązku i wdzięczności...

Ale jak ją miał zapytać o biedną, wydaloną tak nagle? Stary fanfaron bał się, aby nie powiedziała nowoprzybyłej o nędzy, wśród jakiej pełniła pracowitą nad siły kobiece służbę i wypędzili ją...

Nie miała w okolicy nikogo, który by ją mógł przyjąć do siebie, żadnej przyjaźnej sobie kobiety, żadnego rodzinnego domu! I w taki skwar, w taki dzień grozący burzą... Tylko w leśniczówce mogła się zatrzymać i tam jedynie mógł powziąć o niej wiadomość, gdzie się udała? On ją dogoni, on ją odnajdzie — nie spocznie póki nie dokona tego...

Biegł i zabłysnął mu już z pomiędzy drzew czerwony dach domku gajowego, lecz w tej chwili ujrzał i jego samego. Trzymał konia, na który wsiadał wysoki, stary, poważnie wyglądający pan w letnim czarnym paltocie. Był to niezawodnie wczoraj widziany jeździec, odjeżdżał teraz powoli, gajowy, rozmawiając, szedł obok konia, wyżej biegł przodem wesoło i oddalali się wszyscy drogą w las, a Henryk zatrzymał się niepewny, co czynić dalej?

(Dalszy ciąg nastąpi)

WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg).

— W takim razie — zawołał Paryżanin — zechciej łaskawie przetłumaczyć mi parę irlandzkich słów, które są dla mnie zagadką nie do rozwiązania.

— Owszem obywatelu, mogę i tem służyć.

— Zapytaj pan moją towarzyszkę, co znaczą słowa, które powtarza mi nieustannie.

Poczem zwracając się do dziewczyny, dodał:

— Piękna wyspiarko, powtórz obywatelowi owe miluchne słówka.

Wicehrabia wyjaśnił życzenie sierżanta, a dziewczę rozśmiało się wesoło: — Powiedziałam mu, że kocham każdego obrońcę mojej ojczyzny — rzekła.

— Brawo! wykrzyknął sierżant, — jestem zatem pewny miłości mej bogini.

Dziewczyna zrozumiała bez tłumacza i dodała żywo: — Tak, kocham wszystkich, którzy kochają Irlandię i dla tego, dałam mu się pocałować, ale tylko raz. Drugi pocałunek dałabym tylko, odchodząc od ołtarza...

Miała wdzięcznie dowcipną minkę, lecz wiarus skrzywił się ogromnie, skoro tłumacz oddał mu wiernie, jak rzecz stoi.

Lecz w tej chwili jakiś rezolutny kramasz znalazł się przed niemi i otwierając pudło z różnemi towarami, zaczął zachęcać dziewczynę do kupienia jedwabnej chusteczki na szyję. Gaillefontaine chciał ją obdarować dowcipną potryotką, lecz grenadyr nie dał mu tego uczynić. — Za pozwoleniem, obywatelu — zawołał to moje prawo!...

— Za całus otrzymany... dodał z szarmancką dworskością, a gdy dziewczyna wahała się z przyjęciem dodał: — Nie żądam nic więcej... Francuzki rycerz lubi zdobyć piękność i cnotę. Tankred odwołując się do tych samych uczuć, dodał jeszcze dziewczynie sznurek czerwonych pereł, a gdy grenadyr i dama, unosząc jego dary, oddalili się, kramarz który był zasmolony jak węglarz i miał na sobie miejscowy strój góralski, podskoczył nagle z wesołym wykrzykiem:

— Arrahl! — zawołał — dotrzymałem mej obietnicy. Wasza Cześć nie poznałeś swego wiernego Pata!

Gaillefontaine śmiejąc się, powińszował mumentamorfozy rzeczywiście wybornej.

— Egzemplarze proklamacji znajdują się tam, w podwójnem dnie paki — rzekł paddy z zadowoleniem. — Liberyą pozostawiłem w pokoju Waszej Cześci, gdyż wcale sobie nie życzę porzucać służby. — Hillo hou! Niech mnie Bóg od tego zachowa!

Powiedziawszy to, wierny sługa poszedł na swą niebezpieczną wyprawę.

W godzinę później wraz z całym sztabem francuzkim wicehrabia siedział u stołu biskupa, który wystąpił z prawdziwie książęcym przepychem.

Dziękowano mu za tak wspaniałą gościnność i wzniesiono na jego cześć toast, lecz Dr. Stock odpowiedział skromnie:

— Czyż nie czytamy w biblii: „Gdy nieprzyjaciół twój jest głodny, daj mu jeść, gdy ma pragnienie, daj mu pić”.

Lecz nie stoi w biblii: daj mu francuzkiego wina — odezwał się generał Humbert wesoło.

Po wieczerzy Tankred zapoznał się z generalnym adjutantem Sarrazin, oficerem wysokich

zdolności, jedynym może w całej brygadzie, który nie miał ślepej wiary w powodzenie.

Wychodzący irlandzcy, powracający do kraju pod opieką francuzkiego wojska, ludzili się tak bardzo, ufali tak niezachwianie, że Gaillefontaine westchnął smutno, przypomniał sobie swych towarzyszy z wandejskich wojen i armii Kondeusza. — Wszyscy biedni tułacze podobni do ciebie! — szepnął pół głosem. Po co miał ich trzeźwić, po co przekonywać, i tak aż nazbyt prędko nastąpi chwila rozczarowania.

Następnego dnia, zaraz od samego świtu przygotowania do rozpoczęcia wyprawy zajmowały wszystkie umysły, wszystkie ramiona. Z okolic przybyły tłumy wieśniaków, jedni dla prostej ciekawości, drudzy ofiarując pomoc, najmłodszy nawet żądając broni.

Żołnierze francuzcy silni i rzeźcy nie mogli wyjść z zadziwienia na widok tych nędzarzy irlandzkich, wyniszczonych głodem i zaledwie w części okrytych łachmanami.

— Oto są prawdziwi sankiuloci! — zawołał Paryżanin.

Z Francji przywieziono trzy tysiące strzelb i tyleż mundurów gwardyi narodowej. Uczyniono wybór pomiędzy ochotnikami i przedewszystkiem ubrano ich w mundury.

Biedacy ci nigdy nie widzieli się tak wspaniale ustrojonymi. Ani dzieci, ani dżicy ludzie nawet nie okazywali by tak szalonej radości.

Łatwo domysleć się ile kłopotu mieli francuzcy sierżanci, którym polecono w kilku dniach wymustrować tych popisowych. Jednakże rekruci ożywieni byli takim zapalem, że szybko nauczyli się jako tako maszerować. Tego samego wieczoru dano im strzelby. W drodze pokazano im, jak się mają obchodzić z niemi. Zaraz nazajutrz wyruszone w pochód. Był to rzeczywiście zadziwiający pośpiech.

— Zastąpmy liczbę szybkością ruchów — mówił naczelnny wódz.

Biskup ze szczerem wzruszeniem dziękował im za wzorowe zachowanie się. W istocie ani w biskupim pałacu, ani w mieście i w okolicy niepełniono żadnego nadużycia. Później wydał on pamiętniki, w których oddał sprawiedliwość doskonałej karności i wspaniałomyślnemu postępowaniu Francuzów z mieszkańcami podczas ich pobytu w Killala.

Edward i Tankred zaciągnęli się do konnicy, złożonej z czterdziestu trzech szaserów i sztabu. Humbert uprzedził oficerów, że w razie potrzeby, będą musieli szarżować jak prości żołnierze konnicy.

— I my to samo! — zawołał Fitz-Gerald, zapominając zupełnie o swem incognito. — My tak samo jak moi przodkowie pod Fonteney i z tym samym okrzykiem wojennym: — Tlaugh na balagh!

Przed wyruszeniem w drogę, gdy Edward żegnał się z siostrą, Gaillefontaine spoglądał na nich z głębokim wzruszeniem.

— O pamiętaj pan o nim, wicehrabio — rzekła Łucya ze łzami w oczach.

Tankred odpowiedział, podając jej na pożegnanie rękę:

— Licz pani na mnie, przysięgam, że nie zawiodę twej ufności!

XL.

Baylana.

Armia skierowała się ku Baylanie, małemu miasteczku, oddalonemu o pięć mil od Killala. Razem było osiemset Irlandczyków, niemogących jeszcze przynieść wielkiej pomocy i tysiąc Francuzów, lecz wszyscy mieli niezachwianą wiarę w zwycięstwo.

Maszerowali śmiało, wesoło, jak gdyby dla

usprawiedliwienia owej bohaterskiej strofy Victora Hugo:

Nie znali trwogi, wahania, lub zwłoki,
I wdarli by się nawet na obłoki
Ci olimpijsey herosy,
Gdyby za sobą, jak drogoskaz wzbity,
Widzieli rękę Rzeczypospolity,
Ukazującą niebiosy!

Mamy przed oczyma w rękopiśmie dziennik jednego z oficerów tej wyprawy. Opisuje on bolesne osłupienie Francuzkich żołnierzy, na widok kilku wiosek, przez które przechodzili podczas pierwszego dnia pochodu. W Killala widzieli wiele biedy i ubóstwa, ale nie mieli jeszcze wyobrażenia o tej wstrętnie brudnej nędzy, o tym braku wszelkiej godności ludzkiej, które są wynikiem najgrubszej ciemnoty i od wieków gniotącego ubóstwa.

Domy w tym nędznie uprawnym, lubo żyznym kraju, nie były to nawet ubogie lepianki, ale obrzydliwe nory, w których ludzie i zwierzęta gnili razem w trudnym do opisanie brudzie. Na odgłos bębnow na każdym progu ukazywały się dziwne stworzenia, wyschłe i zehudzone jak szkielety, zaledwie w części okryte łachmanami. Widok ich obudzał wstręt, pełen zgrozy i litości. Nawet młodzieńcy, trzymając szkaplerze w rękach, padali na kolana przed swemi wybawicielami, szepejąc pacierze za powodzenie ich oręża.

— Jeżeli pragniecie stać się wolnemi — zawołał raz zniecierpliwiony Humbert, zapominając, że go nie mogli zrozumieć — to przedewszystkiem nauczcie się stać prosto i nie zginać karku przed równemi wam ludźmi!

— Niestety! — szepnął adjutant Sarrazin, znajdujący się wówczas przy wodzu — obawiam się, że ten biedny lud żył tak długo pod tak strasznym jarzmem, że już brak mu teraz siły do podźwignięcia się

I ubódlszy konia ostrogą, połączył się z przednią strażą, którą dowodził.

Był to, jak już powiedzieliśmy, wysoce utalentowany oficer, a przytem człowiek nieustraszonego męstwa. Wielkiem więc było zadziwienie, gdy około południa, po krótkiej utarczce z pierwszym spotkanem oddziałem Anglików, wydał rozkaz cofnięcia się w tył.

Cofnąć się! Słowo to źle brzmi w uszach francuzkich żołnierzy. Grenadyrowie szemrali, że nie prowadzono ich do ataku.

Humbert przybywszy w cwał, zmarszczył niechętnie brwi.

Lecz Sarrazin przedstawił mu, że stanowisko, które właśnie zajął, było wyborne. Lesiste wzgórza panujące nad całą okolicą. Nieprzyjaciół którego siły były przeważające, wprowadzony w błąd pozorną ucieczką, niewątpliwie wyruszy śmiało w pogoń za francuzką armią, która w tej chwili skoncentrowała się w zupełności.

W istocie zaraz potem zaczęły świstać kule pomiędzy gałęziami, drzew. Nieprzyjaciół zbliżał się z pośpiechem.

Francuzi stali na wzgórzu nieruchomi.

Korpus angielski składał się głównie z konnicy. Było jej najmniej dwa półki. Sądząc że mają do czynienia ze zbiegami rzucili się zuchwale naprzód.

Nagle Humbert swym dźwięcznie brzmiącym głosem zakomenderował ognia.

Zdumieni, zdziśiatkowani, kawalerzyści zawrócili konie i uciekli w najgłębszym galopie.

Francuzi wychodząc z lasu zestąpili na płaszczynę.

Śpiewali Marsyliankę.

Jako akompaniament, trzy armaty zagrzniały z kolei, rozsiewając śmierć i zniszczenie.

Angielska piechota nie czekała na uderzenie.

Puszczono się za nią w pogoń, lecz zerwany most osłonił uciekających.

Nad brzegami wody stały topole. Padły pod toporami saperów i w krótkim czasie przejście zostało przywrócone.

Nie rozległ się ani jeden strzał — nieprzyjaciół zniknął.

Dano rozkaz wyruszenia w dalszy pochód.

Wódz-Duch Arkusz 20.

Ze szczytu wzgórza ujrano małe miasteczko Baylana.

Tylna straż nieprzyjacielska opuszczała je z pośpiechem.

Przednia straż Francuzów wkroczyła wkrótce na przedmieście, a pierwszym, który się ukazał na placu był generał Humbert, mając przy boku wicehrabiego de Gaillefontaine.

Wznosiła się tam szubienica, na której wisiał jakiś nieszczęśliwy.

Lecz nie powieszono go za szyję jak zwykle, ciało kołysało się jakoś dziwnie w powietrzu.

Wisielec jedną ręką trzymał się za sznur, a drugą witał wesoło przybywających zwycięzców.

Był to pocziwy Pat.

Poznawszy swego pana, przez szybkie i silne rozkołysanie dosięgnął ręką belki, uchwycił ją, rozciął powróz i z kawałkiem jego na szyi, spuścił się zręcznie na ziemię.

— Ach, ach — odezwał się Tankred — ostrzegam cię, że zostaniesz powieszony.

— Tak — odpowiedział — lecz usiadłem na belce, co uważałem za rzecz daleko wygodniejszą. Głupcy mniemali, że mi skrepowali pięści! Brur! Uwolnić się z takich więzów, to jedna z najwyczajniejszych sztuczek moich, bo byłem przecież tancerzem na linie.

Powiedziawszy to, wyrazistą pantomimą wyjaśnił generałowi akrobatyczny wybieg, który wy dobył go ze smutnego położenia.

Humbert zapytał go, co się stało z proklamacjami.

— Wszystkie rozdane co do jednej! — odparł Pat i to nawet o parę mil za Baylanę. Właśnie powracając, aby otrzymać od pana generała więcej egzemplarzy, wpadłem w łapy żarłocznych wilków. Powracam z Castelbar.

Gaillefontaine służył Humbertowi za tłumacza. To ostatnie słowo uderzyło naczelnego wodza.

— Castelbar? — rzekł. — A wszakże to tam mamy się udać obecnie. Cóż się dzieje w tem mieście? Czy widziałeś w niem angielskie wojska? W jakiej jest liczbie?

Tankred przetłumaczył następującą odpowiedź:

— Około dwóch tysięcy ludzi: Gwardya szkocka, półk oranżystów... przytem czekano jeszcze na posiłki, które generał Lake miał przyprowadzić.

Wicehrabiemu przyszło na myśl, że sir Reginald widocznie nie stracił nadaremnie czasu.

Wypytując dalej, naczelnny wódz dowiedział się o odległości i drogach, prowadzących do Castelbar.

Było ich dwie. Naprzód główny gościniec, lecz ten był zajęty i silnie broniony przez generała Taylor. Następnie droga wiodąca przez góry, na której nie znajdowało się ani jednego żołnierza. Ta ostatnia przytem była o wiele krótszą. Pat właśnie tedy powrócił. Ścieżka ta — gdyż trudno nazwać ją inaczej, służyła jedynie dla kóz i przemytników. Jeden z nich służył mu za przewodnika. Może jeszcze nie oddalił się dotąd z Baylany.

Rozkazano poszukać tego człowieka i przyprowadzić go w miejsce, gdzie miała się odbyć rada wojenna.

Humbert oddalił się, Gaillefontaine chciał udać się za nim gdy wierny sługa zatrzymał go nagle.

— Och! — rzekł — niech Wasza Cześć raczy przebaczyć mą śmiałość. Ale byłbym niewypowiedzianie szczęśliwy, gdybyś pan zechciał przyjąć odemnie pewien podarunek...

— Jaki?

— Połówkę tego powroza. Wiesz pan zapewne, że to przynosi szczęście, czem niegodzi się pogardzać podczas wojny.

Poczem, gdy mu się zdawało, że pan uśmiecha się z niedowierzaniem, dodał. — O, niech się Wasza Cześć nie śmieje. — Tak wierzę w to niezachwianie, że zobowiązuję się przyjąć każdą najniebezpieczniejszą misję, a tymczasem zaciągnę się w szeregi

ochotników... Hilloul!... Pat piechurem!... To będzie zabawna rzecz!

Tłum ludu, zmieszany z francuzkami żołnierzami, rozdzielił rozmawiających.

Przyjęcie na tym drugim etapie było jeszcze serdeczniejsze, niż w Killala. Potworzono na prędce tymczasowego gospody na wszystkich placach miasta. Oprócz kilku oranżystów, którzy opuścili miasto wraz z angielskim wojskiem, nie było ani jednego mieszkańca Baylany, który by nie pragnął uczestować wojaków. Na wszystkich kapeluszach połyskiwała zielona gałązka koniczyny.

Kobiety zabrały się z zapalem do uszycia zielonej chorągwi, na której najrzęczniejsze rączki wyszyły złotemi sznurowadkami piękną harfę Irlandyi.

Tymczasem odbyła się rada wojenna. Humbert chciał zatrzymać się zaledwie parę godzin dla wypoczynku i iść dalej wprost na nieprzyjaciela. Roztropny Sarrazin uczynił zarzut, że korpus tej improwizującej się armii był jeszcze zbyt słaby, aby awanturować się w głąb nieznanego kraju, zdając się na los szczęścia. Czy nie należało raczej wyzyskać zajętą już część Irlandyi, a przede wszystkim zorganizować i wzmocnić jeszcze oddział ochotników? Już zapadała noc, a jeszcze nie było owego przewodnika, który miał przeprowadzić wojsko przez góry.

Wreszcie przybył prowadzony przez Pata i potwierdził wszystkie wiadomości, przyniesione przez niego. Lecz owe drożyny, wolne jeszcze rano, czy wieczorem nie mogły ukrywać zasadzki? Wypadało naprzód zapewnić się, że nie istniało żadne niebezpieczeństwo.

Uchwalono, aby Pat i jego przewodnik przemytnik, wybrali się w drogę natychmiast jako przednia straż, wysłana na zwiady, wojsko zaś miało wyruszyć w pochód dopiero nazajutrz. Miano spotkać się u podnóża gór.

Umiano zresztą wyciągnąć korzyść z chwilowej zwłoki. Trzystu nowych rekrutów wcielono do oddziału ochotników narodowych. Do północy ćwiczone ich w maszerowaniu i robieniu bronią, później aż do świtu uczyli się sami.

Dla wzbudzenia w sobie tem większego zapалу śpiewali całą pierśią Marsylianekę, przerobioną dla ich użytku, w której powtarzała się następująca zwrotka:

„Do broni irlandzki ludu!

Wstaj zmartwych! dokonaj cudu...”

Gaillefontaine zapytał o autora tej przeróbki.

— Jestem! — odpowiedział paryzki sierżant. — Apollin pociesza mnie po niełaskach Cytery... jutro przyjdzie kolej na Marsa!

Tymczasem na główny gościniec wysłano silny patrol na zwiady. Okazało się, że zaraz o parę mil od Baylany zajmowały go znaczne siły Anglików.

Ostrożniejsi oświadczyli, że droga przez góry jest wprost nie do przejścia, przynajmniej dla artylerji i bagażów.

— Nie nie znaczy! — odparł Humbert. — To już postanowione, musimy przejść i przejdziemy!

Otrzymane z różnych stron wiadomości donosiły, że generałowie Taylor i Lake skoncentrowali się w Castelbar. Korpus wyprawy oddalony był od nich tylko o dwanaście godzin marszu. Castelbar jest to miasto bardzo ważne i silne stanowisko strategiczne. Należało wzięść go koniecznie zanim zgromadzą się w niem zbyt znaczne siły. Przeszkody, przygotowane przez Anglików na głównym gościńcu miały przedewszystkiem na celu zyskanie czasu. Otóż uprzedzić nieprzyjaciela szybkim pochodem i uderzyć na niego od strony, w której się nie spodziewał ataku, znaczyło to już zwyciężyć go w połowie.

Spotkano przewodnika u wejścia do wąwozu. Tam widok miejscowości przekonywał, że góry nie były zajęte przez wojska, lecz w istocie zdawały się nie do przebycia.

Były to szeregi wązkich gardzieli, lub gleny bez wyjścia, przynajmniej na pozór. Trzeba było

bezustannie piąć się w górę i zstępować w dół i to po ścieżkach ledwo że dostrzegalnych, które często ciągnęły się po nad przepaściami. Niekiedy nawet drożyny te kończyły się, nagle przecięte prostopadłą ścianą, lub niezgłębianą jamą jaskini. Tylko Francuzi owych czasów mogli zuchwale rzucić się w tak straszne Termopyle.

Przez całą resztę dnia maszerowano bez odpoczynku. Nadeszła noc i trudności powiększyły się jeszcze. Na szczęście księżyc przyświecał pochodowi... Fantastyczny był widok hufców zbrojnych, drapiących się pod górę wężykiem, przebijających skały, parowy, przepaści i potoki. Gdy konie nie mogły już ciągnąć dalej armat, ludzie kolejną zaprzęgali się do wozów. Jeden z nich połamiał się przy przebyciu potoku. Pozostawiono go, aby nie opóźniać pochodu.

Około trzeciej godziny rano kolumna dosięgnęła płaskowzgórza, panującego po drugiej stronie gór nad rozległymi łąkami.

W oddali na wzgórzach, ukazujących się wprost na przeciwno, widać było ogromne ogniska biwaków.

— To nieprzyjacieli! — zawołał Humbert. — Przeznaczam dwie godziny na sen i wypoczynek. Poczem zaczniemy bitwę!

XLI.

Castelbar.

Było to jak cudownie odtworzony obraz z homerycznych szasów.

Z jednej strony pięć do sześciu tysięcy Anglików, wojsko wyćwiczone, wypoczęte i podtrzymywane potężną stosunkowo artylerją: siedemnastu dział wielkiego kalibru.

Z drugiej: dwie małe połowe armatki i tysiąc kilkadziesiąt Francuzów, zmęczonych długim, uciążliwym marszem nocnym.

Co do irlandzkich ochotników, nie można było jeszcze liczyć na nich. Wkrótce przekonano się o tem dowodnie.

Słońce weszło, rozpraszając mgły nad rzeką Moy, toczącą ku zachodowi bystre i ciemne wody.

Niewidzialne aż dotąd zarysy doliny, były w pół osłonięte rzadniejącą coraz bardziej mgłą. Nagle uniosła się ona w górę, niby kortyna teatru odsłaniając okolicę.

Ukazał się Castelbar wpośród otaczających go wzgórz. Po lewej stronie skały i lasy, na prawo mnóstwo młynów, a w oddali dwa małe jeziora, odbijające w spokojnych wodach pierwsze promienie słońca.

Blżej u stóp gór snuła się wężykiem wstęga rzeki wśród torfowisk i bagien, z lasami trzciny, dalej zielone łąki, zakończone szeregiem topoli, wreszcie sina dal.

Dolina zdawała się jeszcze uspioną. Nigdzie żadnego ruchu, dokoła cisza i spoczynek. Na górach szumiał chłodny wiatr, uginając grzbiety janowców i wrzosów.

Roje ptaków, zbudzonych przez poranek, ulatywały do koła, bujając w wilgotnem powietrzu. Dawalo się słyszeć radosne krakanie kruków, przezuwających krwawą ucztę.

(Dalszy ciąg nastąpi)